W NUMERZE: O człowieku, który zbudował powstańczą radiostację „Błyskawica" ■ Relacja ze Słonecznego Brzegu ■ Wielka gra – o trudnościach tegorocznej kampanii żniwnej ■ O sytuacji filmu polskiego ■ Wspomnienia Walentina Katajewa ■ Wiersze Horacego Safrina ■ Proza Jana Huszczy ■ W królestwie ryżu – reportaż z Północnej Korei ■ List z Genewy ■ Recenzje ■ Felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 34 (1080) ROK XXI 20 SIERPNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

ALEKSANDER GÓRCZYŃSKI

NA POŁUDNIE PO SŁOŃCE

Pod tym hasłem miliony ludzi wyrusza na południe Europy. Z myślą o ciepłej morskiej wodzie i niezawodnym słońcu, które pozwoli człowiekowi zmienić skórę i samopoczucie, z bielasa mieszczucha uczynić odmłodzonego, tryskającego energią opalonego na złoty brąz globtrotera. A ile potem opowieści w towarzyskim kółku? O sposobach na celników, o handlu wymiennym i kursach walut, porównaniach z innymi nacjami, przywiezionych zdobyczach. I jaki bilans!

Śmieszyło mnie to zawsze, bo kraj mamy piękny i życia nie starczy, żeby obejrzeć co ciekawsze zakątki. Ale tym razem uległem rodzinie i co też miało znaczenie: klimat nad naszym Bałtykiem robi się coraz bardziej podły i by trafić tu na kilka słonecznych tygodni, trzeba być prawdziwym szczęściarzem.

No, więc do Bułgarii. Na szczęście tutaj, bo w niedalekiej przecież Jugosławii od połowy czerwca do połowy lipca lało. Chociaż i w Bułgarii pod koniec czerwca przeleciały... gradowe burze. Przyjechaliśmy też z deszczem do Słonecznego Brzegu, ale w sumie pogoda nas nie zawiodła. Jak pozostałe 4,5 miliona turystów, którzy to corocznie zjeżdżają z całej niemalże Europy. (Wśród których niemal co 10 jest Polakiem).

Po tym wstępie trzeba jeszcze dodać, że urlop urlopem, ale dziennikarska powinność nakazuje zanotować choćby garść refleksji. Być może część z nich przyda się naszym podróżującym Czytelnikom, na inne zwrócą uwagę ludzie zajmujący się wysyłaniem naszych rodaków za granice.

Dalszy ciąg na str. 5

EUGENIUSZ IWANICKI

PSZCZOŁY umierają ZBIOROWO

Miliony pszczół ginie co roku na skutek nieprzemyślanej działalności człowieka. Z jednej strony wzrasta popyt na produkty uli z drugiej beztroska w stosowaniu środków owadobójczych powoduje, że coraz mniej mamy miodu, wosku, kitu pszczelego, pyłku kwiatowego, mleczka i jadu. Pszczoły umierają zbiorowo. W świecie roślinno-zwierzęcym zawsze działał dobór naturalny. Z chwilą wkroczenia człowieka ten odwieczny mechanizm został poważnie naruszony. Środki rozpryskowe zabijają całe roje na miejscu, przy opylaniu roślin substancjami toksycznymi pszczoły przynoszą truciznę na nóżkach do ula i ul ginie. W wielu krajach od lat wprowadzono w tej mierze drastyczne przepisy, u nas świadomość rolników a często i służby rolnej pozostawia wiele do życzenia. Sprawy sądowe niewiele tu pomogą. Potrzebne jest szersze, zdecydowane i skomasowane działanie na każdym szczeblu gospodarki żywnościowej: od pojedynczego, indywidualnego gospodarza do spółdzielń produkcyjnych.

NIECO HISTORII

O pszczołach napisano setki książek i podręczników naukowych. Maurice Maeterlinck m. in. za „Życie pszczół" otrzymał Nagrodę Nobla. Od zarania swoich dziejów człowiek nieustannie stykał się z pszczołami. Na jednej ze ścian skalnych w grocie obok Walencji odkryto rysunek sprzed 5 tys. lat przedstawiający miodobranie. A w papirusie sprzed 3,5 tys. lat odczytanym przez Eberta znajduje się wzmianka o hodowli pszczół. Hodowano je w Palestynie, Grecji, Rzymie. Miód składano w ofierze bogom, wyposażano w niego co znakomitszych zmarłych, używano do leczenia ran, a greccy zawodnicy przygotowujący się do igrzysk, a także atleci rzymscy posilali się nim przed wyjściem na bieżnię czy arenę. Hipokrates, a także Dioskorydes, czy Pliniusz zalecali miód, jako lek skuteczny i pewny. Słynny piewca miłości i radości z Teos, poeta Anakreont dzięki używaniu miodu osiągnął długowieczność, to samo Pitagoras i wspomniany już „ojciec medycyny" Hipokrates. Ale miód miał nie tylko przedłużać życie doczesne. Herodot podaje, że wódz babiloński Argesipolis po śmierci w czasie wyprawy wojennej do Macedonii został zanurzony w miodzie i przywieziony do ojczyzny. Miód używano do balsamowania zmarłych, był szeroko stosowany w starożytności. Do spożywania miodu zachęca także Koran wyznawców Mahometa, a znane powiedzenie „miesiąc miodowy" wywodzi się z całomiesięcznych uroczystości weselnych połączonych z piciem miodu, jakie obchodzili Skandynawowie.

Medycyna starożytna oraz ludowa chętnie widziała w miodzie uniwersalne panaceum na wszystkie niemal dolegliwości. Dzisiaj jesteśmy ostrożniejsi w przypisywaniu uniwersalności temu produktowi, lecz badania przeprowadzone w wielu krajach, potwierdzają jego właściwości odżywcze i lecznicze. W czasie ostatniej wojny, lekarze radzieccy stosowali z powodzeniem miód w szpitalach wojskowych. W szpitalu dziecięcym w Jersey przez 25 lat badano wpływ miodu na rozwój dzieci i wzrost ich odporności na choroby. Okazało się, że następuje szybki przyrost wagi ciała, siły i zwiększa się hemoglobina oraz czerwone ciałka we krwi. Miodem leczy się osłabione serce, zaburzenia przewodu pokarmowego (duże zasługi w badaniach nad leczniczymi właściwościami miodu w chorobach wrzodowych żołądka i dwunastnicy mają kliniki ZSRR i krajów zachodnich), choroby dróg

Dalszy ciąg na str. 6

STANISŁAW MOJKOWSKI

Latem 1964 roku, w bramie łódzkiego Domu Prasy przy ulicy Piotrkowskiej 96 zatrzymał mnie Stanisław Mojkowski. Była to moja pierwsza rozmowa z ówczesnym szefem „Głosu Robotniczego". Trwała krótko. „Piszecie w „Odgłosach"? — zapytał. — „A nie chcielibyście się wziąć za prawdziwe dziennikarstwo?".

Oczywiście, chciałem. W „Odgłosach" pisałem wówczas drobne informacje i mini-felietony. Tak więc od 15 sierpnia 1964 roku zaczęła się moja — trwająca do dziś — współpraca z „Głosem".

Początkowo biegałem po mieście w charakterze reportera działu miejskiego, potem pracowałem w dziale partyjnym. „Głos" jest dużą gazetą i obecność Naczelnego, urzędującego w gabinecie od frontu, nie zawsze dawała się odczuć. Ale to były pozory. Rychło zorientowałem się, że Stanisław Mojkowski trzyma rękę na pulsie redakcji, że widzi wszystkie nasze reporterskie potknięcia i potrafi docenić sukcesy i osiągnięcia.

Był Stanisław Mojkowski człowiekiem o wielkim i niepodważalnym autorytecie. Przede wszystkim był znakomitym fachowcem — do legendy przeszły Jego „mówione felietony" w oflagu Woldenberg, gdzie młody warszawski dziennikarz zamienił słowo pisane na mówione.

Był Stanisław Mojkowski człowiekiem głęboko mądrym i sprawiedliwym. Nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś z nas poczuł się skrzywdzony ostrą reprymendą Naczelnego. Wiedzieliśmy bowiem, że słowa nagany są u Niego zawsze wyważone, przemyślane i sprawiedliwe. Tym większe znaczenie miało zawsze dla nas słowo pochwały, zachęty — wtedy, kiedy Naczelny pojawiał się w drzwiach któregoś z redakcyjnych pokojów i mówił: „Chwalę was, dobrze napisaliście dzisiejszy materiał".

To znaczyło naprawdę więcej niż premia, niż wierszówka. Piszę to z całym przekonaniem — bowiem ocena i pochwała wypowiedziana przez Stanisława Mojkowskiego była zawsze wyróżnieniem nobilitującym wśród dziennikarskiej braci.

O redaktorach naczelnych mówi się, że ich rolę w gazecie widać najwyraźniej krótko po objęciu stanowiska, i potem tuż po odejściu. To prawda. Stanisław Mojkowski był współtwórcą autorytetu i zwiększonego zasięgu „Głosu Robotniczego". Ale zasługi Jego są większe. Potrafił stworzyć taki zespół, wychować takie grono dziennikarzy, że kiedy odszedł do Warszawy, do „Trybuny Ludu" — nasz organ partyjny nie zniżył lotów, utrzymał nadal swój szeroki zasięg, sympatię i zaufanie czytelników.

Swoją fachowość i inwencję dziennikarską oddał potem w służbie organu KC PZPR — „Trybuny Ludu". Pojawiły się interesujące bloki tematyczne, zyskał na atrakcyjności kształt graficzny gazety.

Stanisław Mojkowski zmarł w wieku 67 lat, po długiej i ciężkiej chorobie. Ciężką stratę poniosło polskie dziennikarstwo. Zmarł żołnierz Września, jeniec hitlerowskich oflagów, a po wojnie wybitny dziennikarz i działacz. W latach 1968—75 był członkiem Komitetu Centralnego PZPR, przez trzy kadencje (1964—1976) był posłem na Sejm PRL. Przez wiele lat pełnił zaszczytną funkcję przewodniczącego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, przez sześć ostatnich lat był prezesem Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch".

Posiadał wiele odznaczeń za swą wybitną działalność zawodową i polityczną, odznaczono Go Orderem Sztandaru Pracy I klasy, Krzyżami Komandorskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi.

W naszej pamięci pozostanie Stanisław Mojkowski nie tylko jako Naczelny, Prezes, Przewodniczący czy Poseł. W naszej pamięci — tych, którzy Go znali, których wprowadzał w trudne arkana dziennikarskiego zawodu — pozostanie nasz Szef jako mądry, sprawiedliwy Człowiek, pełen pasji działacz i wychowawca ogromnej rzeszy polskich dziennikarzy.

Cześć Jego pamięci.

JERZY WILMAŃSKI

LIST Z GENEWY

Kiedy odlatywałem do Genewy, przypomniało mi się powiedzenie Talleyranda: „Znam pięć części świata: Europę, Azję, Amerykę, Afrykę i Genewę". Wprawdzie nie wierzę Talleyrandowi, ale był to spryciarz — no, ho. Dziś, zgromadziły się tu wszystkie części świata w różnym przekroju. Wystarczy wspomnieć organizacje: Międzynarodowa Akademia Ceramiki, Światowa Unia Biblijna, Międzynarodowa Unia Społeczna i Polityczna Joanny d'Arc, Światowe Stowarzyszenie Walki z Głodem, Międzynarodowe Stowarzyszenie Popierania i Ochrony Inwestycji Prywatnych za Granicą, Dobra Wola Świata, Międzynarodowe Biuro Pokoju, Światowy Komitet Konsultacyjny Towarzystwa Przyjaciół Kwakrów, Międzynarodowy Związek Wodnego Narciarstwa, Światowa Federacja Ochrony Zwierząt, Europejska Unia Powoźników. W sumie 171 podobnych i niepodobnych do siebie organizacji, nie licząc powszechnie wszystkich znanych, jak europejska siedziba ONZ i jej organizacje specjalistyczne.

A więc doleciałem i wylądowałem.

Zamieszkałem w małym, przytulnym hoteliku, blisko dworca kolejowego Cornavin. I zaraz zawarłem miłą znajomość z Paniami Recepcjonistkami. Jedna z nich naturalna blondynka, opowiadała mi o szalenie „gentil" mechaniku-monterze, który mieszka w mieście nad Wisłą, a ponieważ miasto to nazywała „lek", domyśliłem się, że jest to niechybnie Włocławek lub Płock. Zaprosił ją do Polski. Ma ładne imię — Władek (wymawiała ładnie „Ł" — jak w Łodzi). Okazało się później, że dobrze być powiernikiem. Otóż pewnego wieczoru, kiedy wróciłem z filmu „Sex o'clock" i zapragnąłem napić się herbaty, zapytałem pełniącą wówczas dyżur ową panią o najbliższe bistro. Odpowiedziała: „un moment" i wręczyła „Tribune de Genève". Nie zdążyłem nawet przeczytać artykułu zatytułowanego „Jan Tomaszewski zdymisjonował trenera", a już stała przede mną na stoliku herbata.

Winien jestem wyjaśnienie, dlaczego poszedłem obejrzeć film „Sex o'clock". Po prostu sądziłem, że będzie to szwajcarska tematyka zegarkowa. Okazało się, że nic z tych rzeczy. Primo — rzecz się działa w USA, secundo — akcja toczy się oddzielnie między panami i oddzielnie paniami. Najbardziej zaś perfidne w tym obrazie było nadawanie mu w pierwszych ujęciach otoczki naukowej. Paskudztwo, panie redaktorze. Importujmy raczej „Dziewczynę z reklamy".

W Genewie jest dużo cudzoziemców, podobnie jak w Hong Kongu i Tangerze — co trzeci obywatel (35 procent). Czy ich się widzi i słyszy? Dużo wcześniej niż tuziemców. Cudzoziemcy rozpoczynają pracę od wczesnych godzin rannych: opróżniają zbiorniki z wszelkiego rodzaju odpadków, sprzątają, naprawiają chodniki, jezdnie, kanalizację. Żwawo ruszają się na placach budowy, najwcześniej też otwierają swe narodowe bistrots, pizzerie, bodegi, ryżodajne knajpki.

Tuziemcy ukazują się na ulicy znacznie później. Kroczą dostojnie do biur, banków, sklepów. Często towarzyszą im dzieci.

Zdecydowaną większość cudzoziemców stanowią Włosi, a następnie Hiszpanie. Przytoczyłem owe 35 procent. To oficjalne twierdzenie. Trudno jest jednak ustalić liczbę cudzoziemców przebywających tu nielegalnie. Nad cudzoziemcami „czuwają" specjalne oddziały policji. Niełatwe mają zadanie. Istnieje tu bowiem organizacje współczesnych handlarzy niewolników, dostarczające „żywy towar" przedsiębiorcom. Przedsiębiorcy krańcowo wykorzystują nielegalnych pracowników. Do niedawna „nielegalni" opłacać musieli powrót do kraju, kiedy ich wydalano. Obecnie prawo nakazuje ponosić te koszty pracodawcom. Handlarze nędzą ludzką posuwają się w swej bezwzględności nawet do denuncjacji „nielegalnych", aby zarobić na nowych „dostawach".

Międzynarodowość Genewy znajduje także pełne odbicie na rynku księgarskim, gdyż nawet dominująca książka w języku francuskim jest częściej reprezentowana przez Francję niż Szwajcarię. Trudno tu jest nawet o nabycie książek znanego w literaturze światowej Szwajcara, Karola Ferdynanda Ramuza. Podobnie jest z literaturą w języku niemieckim. Łatwiej dostrzec na półkach Heinricha Boella niż Frischa lub Dürrenmatta. Jaki jest stosunek Szwajcarów do „ich" literatury, wyjaśnia w pewnym stopniu wstęp do antologii dwunastu twórców Szwajcarii piszących po francusku, wydanej w języku niemieckim, w którym czytamy:

„Frisch i Dürrenmatt są twórcami zaangażowanymi w życiu współczesnym, natomiast pisarze z Suisse Romande odtwarzają „samotną przechadzkę Rousseau...".

Antologia zawiera dzieła poetów: Gustave Roud, Philippe Jacottet, Jacques Chessex, Maurice Chappaz i Alexandre Voisard, autorów opowiadań: S. Corinna Bille i C. F. Landry, powieściopisarzy: Georges Piroue, Jean-Pierre Monnier i Yves Velan, krytyka Marcel Raymond oraz „europejczyka" Denis de Rougemont. Każdemu z nich poświęca antologia wybrane teksty lub rozdziały powieści oraz dane biograficzne. Słowem — sytuacja przypomina Kanadę, gdzie wszechwładnie panuje literatura w języku angielskim: amerykańska, angielska i kanadyjska, a francuska jest kopciuszkiem.

Wspomniana we wstępie do antologii „Samotna przechadzka" Rosseau urosła w Genewie do potężnych rozmiarów: szlak wiodący jego śladami jest żelaznym punktem przewodników o Genewie. Podobną popularnością cieszy się tu Voltaire. I o ile pierwszy z nich ma pełne prawo obywatelstwa — urodził się tu, mieszkał, a nawet był synem genewskiego zegarmistrza, to drugiemu przysłużyła się inwestycja: wybudował tu bowiem wspaniałą rezydencję — „Les Delices". Przebywał w niej bardzo krótko — tylko trzy lata — w ciągu długiego, 84-letniego żywota. Warto też wspomnieć — a chyba to paradoks dużej miary — że nie mógł nabyć placu pod budowę na swoje nazwisko, gdyż był ...katolikiem. I o ile w sprawach wolności religijnej sytuacja (od Kalwina) dość często się zmieniała, to największym paradoksem Szwajcarii jest dyskryminacja kobiet, bo przecież dopiero w ciągu ostatnich lat kobiety uzyskały prawo głosowania.

Paradoks ten pogłębia chyba fakt, że w Genewie skupiły się siedziby wielu organizacji kobiecych. Daruje pan „wyliczankę"? A więc, między innymi: Międzynarodowa Unia Kobiet pod hasłem — Równe Prawa — Równa Odpowiedzialność, Światowa Unia Kobiet Chrześcijanek, Zrzeszenie Kobiet Pacyfiku i Azji Południowo-Wschodniej, Międzynarodowa Rada Kobiet, Światowa Federacja Żeńskiej Młodzieży Katolickiej, Międzynarodowa Liga Pokoju i Wolności Kobiet, Międzynarodowa Organizacja Kobiet Syjonistek, Światowa Chrześcijańska Unia Kobiet Abstynentek, Światowa Unia Kobiet Wiejskich, Światowa Unia Kobiecych Organizacji Katolickich...

A więc „Kirche, Kinder, Küche" — skąd my to znamy? Pociesza optymistyczna dewiza Genewy: „Post tenebras lux". Poczekajmy.

Paradoksem jest też chyba zupełne pozostawienie w cieniu szeroko nam znanych już od lat szkolnych postaci Tella i Winkerlieda. Ale nie martwmy się tym — Pana z Morges — Paderewskiego znają tu wszyscy. Oddaje głos pani Lilly, właścicielce bistro, w którym pijałem kawę, kiedy sympatia montera z Włocławka nie miała dyżuru.

— Tak? Pan jest Polakiem. Braves Polonais. Ojciec mój przyjaźnił się z pewnym oficerem polskim. Było wtedy ich tutaj dużo, w czasie wojny — internowanych. Mówił pięknie po francusku. Nie tak jak my. Byłam wtedy dziewczynką dużo już rozumiejącą. Mówili o powstaniach, o wojnie, która dobrze i szybko się zakończy. Zapamiętałam szczególnie powiedzenie, które często powtarzali: „Paderewski był najlepszym pianistą wśród polityków i najlepszym politykiem wśród pianistów". Padarewski jest u nas bardzo znany. Niech pan pojedzie do Morges. Zobaczy pan tam jego pomnik. Teraz spotykam mało Polaków, chociaż bistro prowadzę już od kilku lat i mam dużo znajomych w mieście. Jestem teraz sama. Pan rozumie? Rozwód to częste zjawisko. Wcale mi bistro nie jest potrzebne dla egzystencji. Po prostu chcę pracować. Spotykam tu dużo ludzi z różnych krajów. Coraz mniej młodzieży zna francuski, a coraz więcej ludzi zna angielski. Angielski — to język interesu. Lubię Słowian. Są inni. Chętnie mówią o literaturze, znają ją. A my obracamy się tylko wokół francuskiej. Mało wiemy o świecie. Mówił pan o Frischu, Dürrenmatcie. Cóż ja mogę z kolei powiedzieć o wielkich Polakach. To wszystko tylko zasłyszane, a nieodpowiedzialne. Aż wstyd pomyśleć! No tak, znam „Quo vadis" i może inne książki Polaków. Widziałam w telewizji wasze tańce. Były u nas też zespoły polskie. Ładne macie stroje ludowe, tańce żywe. To zupełnie inne „mazurki" niż Chopina. Jak mi się znudzi bistro, wybiorę się do was. Z Cointrin to niedaleko... Przeżyłam dużo. Należę do pokolenia, kiedy małżeństwo było ustabilizowaną pozycją. My, Szwajcarki, nie bawiłyśmy się w politykę. Dom był wszystkim. Ale, jak już panu powiedziałam, cieszę się, że pracuję samodzielnie. Nawet już głosowałam. Bardzo mi się to podobało.

Pani Juliette, dla odmiany jest współczesną, samodzielną, pracującą zawodowo kobietą. Pracuje w międzynarodowej instytucji od kilkunastu lat, kiedy bowiem po raz pierwszy, w 1969 roku, spotkałem ją, była już wysoko postawionym pracownikiem administracyjnym. Włada literackim językiem francuskim, a jej angielski i niemiecki też są godne zazdrości.

Witamy się jak dobrzy znajomi.

— Odznacze dziś pana po raz drugi — mówi wręczając mi plakietkę delegata. — Niech pan zwróci uwagę, że to nie „Jean", lecz „Jan".

Pani Juliette pojmuje szerzej swoją ojczyznę. Bliski jest jej zarówno Rousseau, jak Frisch, Dürrenmatt. A Polska to Paderewski, jak i Kościuszko, który przecież przebywał w Suisse Alemanique. Dla niej Szwajcaria to Konfederacja Helwecka. Mówi też z pełną znajomością o współczesnych polskich wydarzeniach kulturalnych. Najbardziej zaś ujęła mnie, kiedy opowiadała o bliźniaku muzeum włókienniczego Lozanny — w Łodzi.

— Powinniście być dumni z waszych tkaczy — artystów, przepraszam — większość stanowią harmantes Polonaises.

— Dziękuję — odpowiedziałem — przekaże im wyrazy uznania. Co też niniejszym, za pozwoleniem Pana Redaktora, czynię.

JAN JANISZEWSKI

Listy do Redakcji

„OBANDAŻOWANE DRZEWO"

Mam wątpliwości czy p. Urbankiewicz widział osobiście mój pokaz autorski, a właściwie pokazy, bo było ich dwa: I — „Próba czystości". II — „Deportacja". Dla porządku wyjaśnię, że „Próbę czystości" stanowiło całkowicie spowite w biała, cienka i rzadko tkana surówkę jedno z drzew stojące na terenie Galerii Rzeźby przy ul. ZMP. Pod drzewem rozciągnięto z tejże samej surówki kwadrat o boku 4 m, z centralnie wyciętym otworem na pień. Na białym kwadracie położono rumiane jabłko. Odnośnie tego pokazu p. Urbankiewicz materię, która owinięto drzewo, a więc — surówkę, nazywa „czymś" i „kaftanem". Czyżby nie odróżniał popularnych rodzajów materiału? Poza tym nic nie mówi o drugim pokazie pt. „Deportacja" który stanowiły cztery drzewa stojące przy ul. Piotrkowskiej z przywiązanymi sznurkiem do ich pni swego rodzaju chochołami wykonanymi z białej surówki. Jeżeli p. Urbankiewicz oglądał dwa pokazy, a widział — jeden, to wolno przypuszczać, że nie słyszał dokładnie co przechodnie mówili. Być może zupełnie coś innego niż to, co im usiłuje włożyć w usta. Poza tym odkad to przechodnie są tak zgodni w swych opiniach?

W pewnym miejscu swego artykułu autor pisze: „Dla każdego rozsądnego człowieka było i jest rzeczą oczywistą, że nałożenie na koronę drzewa kaftanu może spowodować śmierć drzewa". W związku z tym pragnę wyjaśnić, że przed przystąpieniem do realizacji swych zamierzeń konsultowałem się z fachowcami od zieleni uzyskując ich aprobatę. Z Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Śródmieście otrzymałem zezwolenie na piśmie. Teraz, po dokonaniu pokazów, biorąc pod uwagę głosy oburzenia obrońców przyrody w dniach od 1 do 7 sierpnia przeprowadziłem eksperyment całkowitego zawinięcia drzewa, prawie w identycznych warunkach (tym razem jednak na drzewie przeznaczonym do wycięcia) i... DRZEWO NIE UMARŁO. Natomiast umarło drzewo, na które nie założono żadnego „kaftana". Wszyscy mogą to sprawdzić: owe uschnięte drzewo stoi tuż, tuż przy linie, która taki kaftan miała. Dzieli je zaledwie 10—12 m. Gdyby los chciał abym właśnie to drzewo owinął w płótno — dla wszystkich zostałbym nieodwołalnie mordercą drzewa, a tak — przynajmniej mogę się odwołać do faktów. Lipa, która miała na sobie „kaftan" cieszy się dobrym zdrowiem, a cieszyłaby się jeszcze lepszym, gdyby dwóch pracowników ŁPO zdejmujących kaftan zrobiło to delikatniej i nie z jednej drabiny, lecz z dwóch. Obecni przy demontażu przechodnie byli świadkami szarpania i brutalnego ciągnięcia, któremu towarzyszył trzask łamanych gałązek. Trzeba wiedzieć, że założenie okrycia drzewa zostało wykonane przez 4 ludzi przy pomocy dwóch wysokich drabin i wysokich żerdzi. Zrobiono to delikatnie i ostrożnie zostawiając u dołu korony otwory wentylacyjne. Odnośnie samej sztuki p. Urbankiewicz ma pozbawiony wątpliwości pogląd, wie kto jest artystą „autentycznym", kto artystą rzekomym; co jest dziełem sztuki, a co nim nie jest. Wydaje mi się, że p. Urbankiewicz i inni podobni muszą sobie zadać większy trud w szukaniu odpowiedzi na trudne pytania dotyczące tak sztuki, jak i ochrony przyrody. Tematykę tę postawiłem w swych pokazach.

Na zakończenie chcę oświadczyć, że żadnego drzewa nie uszkodziłem, nikogo ani nic nie rabałem, nie dusiłem, nie zabijałem jak mnie posądza czy też rad by mnie takim widzieć p. Urbankiewicz. Natomiast żywemu nie przepuszczę, jeżeli takie niedorzeczności będzie podawał na forum publicznym. Chciałbym zdecydowanie wystąpić także w obronie, daleko ważniejszej sprawy niż pojedyńcze dzieło sztuki, chciałbym wystąpić w obronie swoistego klimatu twórczego, który warunkuje wszelką działalność twórczą. Bez niego popadamy w sztampę i prowincjonalizm; bez niego nigdy nie będziemy autentyczni. Pojedyńcze dzieło sztuki i analogicznie — pojedyńczy obiekt przyrody (np. drzewo) może niekiedy zginąć: to się zdarza i jest to strata, która boli, ale kiedy ginie klimat swobodnego tworzenia i — analogicznie — klimat pogłębionych studiów nad ocaleniem środowiska naturalnego — to jest to strata niepowetowana.

Tak więc „próba czystości" odbyła się i nie wszyscy ją wytrzymali nie brudząc sobie rąk.

EDWARD ŁAZIKOWSKI

KONKURS POETYCKI

Klub Młodych Pisarzy „WIADUKT" przy Zarządzie Łódzkim ZSMP ogłasza konkurs na poetyckie impresje z XI Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Hawanie. Na konkurs należy nadsyłać zestaw trzech utworów (w 5 egzemplarzach każdy) nigdzie dotąd nie publikowanych, na adres: Zarząd Łódzki ZSMP, 90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 262 Komisja Kultury — z dopiskiem na kopercie: „HAWANA 78". Termin nadsyłania utworów — do 30 września 1978 roku. Prace nagrodzone zostaną opublikowane w magazynie Zarządu Łódzkiego ZSMP — „DO RZECZY". Jury przyzna następujące nagrody: I nagroda — 2.000 zł, II nagroda — 1.500 zł i III nagroda — 1.000 zł oraz wyróżnienia. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi podczas spotkania z uczestnikami XI ŚFMiS w Hawanie.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

WIESŁAW MACHEJKO

ŚLADAMI „BŁYSKAWICY"

Marginesy reportażu. To wszystko co musi odpaść w czasie selekcji materiału, poszukiwania jego jądra. Reportaż dokumentalny o człowieku, który zbudował „Błyskawicę", radiostację Powstania Warszawskiego, niewielki nadajnik krótkofalowy o mocy ponad 200 W, pracujący przez 55 dni walki. Reportaż o technikach-krótkofalowcach polskich, żołnierzach służb łączności we wrześniu 1939 roku, którzy ze swymi nadajnikami zeszli w podziemie i broni nie złożyli. Na to wszystko około 17 minut. Krótko to, może i dobrze. Szczegółowa historia może okazać się... nudna. Niech ja spisują historycy polskiej radiofonii. Może przydadzą się im i marginesy zapisane w pamięci reportera, fakty, ciekawostki, które w jego podstawowej relacji miejsca nie znalazły.

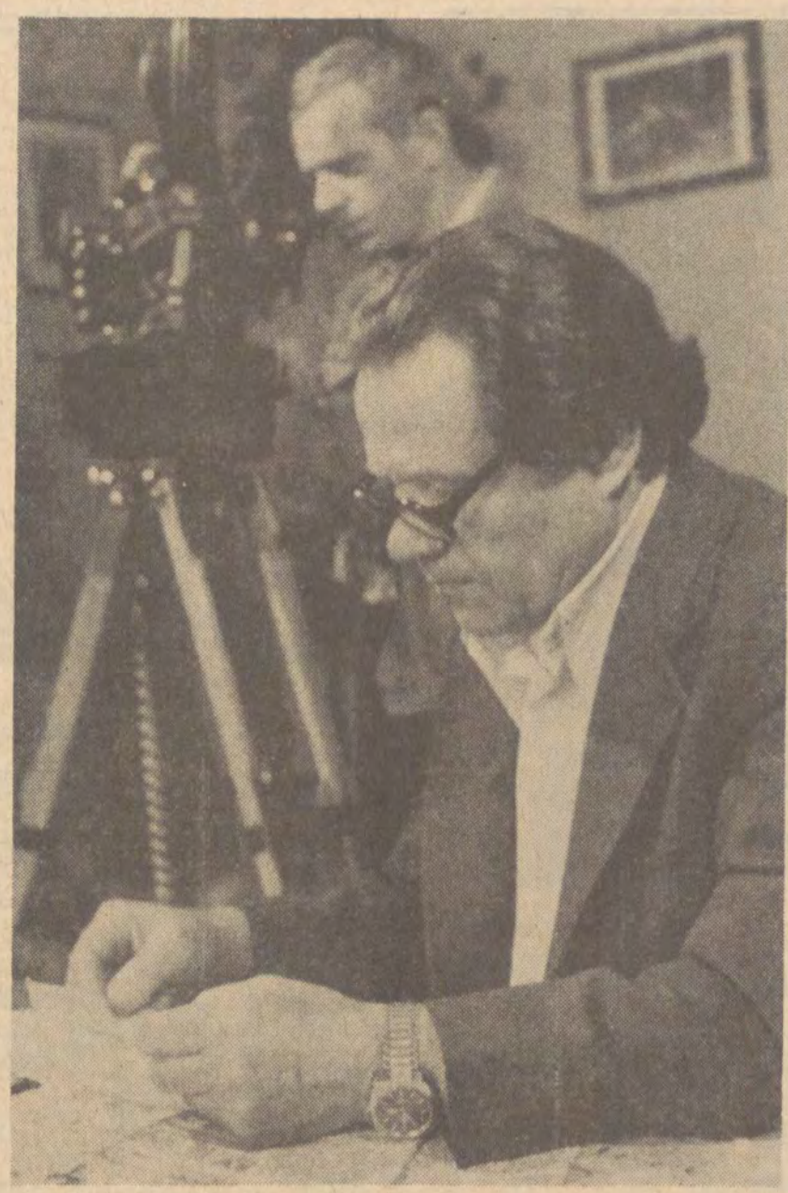

Nieliczne dokumenty: rozkazy na bibułkach, schemat, kilka niewielkich zdjęć. Antoni Zębik w mieszkaniu przy ul. Prostej 18 w Częstochowie, gdzie 35 lat temu zbudował „Błyskawicę".

„BŁYSKAWICA". Tę nazwę nadano radiostacji już w czasie działań powstańczych. Wiosną 1943 roku na ul. Prostą 18 w Częstochowie do krótkofalowca SPIZA, Antoniego Zębika (dziś Zakład Radiotechniczny przy ul. Nowotki w Łodzi) dotarło polecenie zbudowania stacji. Budował ją 2 miesiące. Z częściami wiąże się niewykonanie rozkazu wysadzenia amatorskich nadajników krótkofalowych złożonych na częstochowskiej poczcie w sierpniu—wrześniu 1939 r. Zębik — żołnierz łączności poczty nie wysadził, bo koczowały tam tysiące uciekinierów. Zabrał z rozbrojonych nadajników lampy i kwarce, zawiózł do domu. Kazał schować. Kiedy wrócił części nie było. Przerażona rodzina wskazała na podwórkowy klozet. Wszystko utopili. Ale lampy pływały... Rozpoczęło się makabryczne wyławianie... Potem już w czasie prób główna lampa RK-28 zapaliła się na niebiesko. Powietrze! Z lampą w wielkim reklamowym termosie Zębik z kolegą docierają do zakładów „Philipsa" na Woli. Wskazany inżynier, który ma ją odpowietrzyć nic nie wie. Pistolety na stół. — Ach tak. To proszę poczekać. — Inżynier z lampą znika. Wsypa? Wraca. — Niestety nic się nie da zrobić. Weźcie za te dwie niemieckie... Powodzenia!

Na bibułkowych pisemkach korespondencja z szefostwem łączności. Schemat radiostacji na kartoniku wielkości pudełka papierosów. Lista części przekazanych z Warszawy z zastrzeżeniem, że jeśli wpadną innych już nie będzie. Wreszcie zdjęcia formatu 4,5×4,5 robione na czas na strychu domu przy ul. Prostej. On: Zębik ze swą trzyczłonową stacją i jego kolega Dróżdż. Za to zdjęcie groziła śmierć. Ale zrobili sobie i jest. Niejedno. Te dokumenty żona Antoniego Zębika przechowała po aresztowaniu męża i zesłaniu go do obozu.

Wpadł jako żołnierz podziemia. Ale radiostacja była już w innym miejscu Częstochowy. Gestapo nie udowodniło mu krótkofalarskiej działalności, wspaniałomyślnie po ośmiokrotnym topieniu w wannie wysłało do obozu. A działalność ta była niemała. Zębik opowiada dziś z humorem, że w czasie prób emisyjnych stacji latem 1943 roku codziennie między 16 a 16,15 „uzupełniał program radiowy Niemców muzyką z płyt". Odbierały to kontrolne punkty nasłuchowe podziemia i ...niemiecka służba goniometryczna. O tym, że został przez nią namierzony ostrzegł Zębika oficer Wehrmachtu — Austriak z pochodzenia, Karl Königer, u którego Zębik naprawiał odbiorniki radiowe. Potem zaraz przyszło wezwanie. Zgłosić się do Kommando Schutzpolizei o godz. 15.30. A więc próba złączenia osoby z nadajnikiem. Idzie. Wcześniej prosi kolegę, by o 16 punktualnie uruchomił nadajnik. Wiozą go na stanowisko goniometryczne. Nastawiają odbiornik. O 16-tej rozlega się niemiecka muzyka z płyt. A więc to nie on. Kto? — Wariat — mówi Zębik. Dziś powie, że odczuwał nawet satysfakcję, bo odbiór był bardzo czysty, emisja prawidłowa, stacja się udała... Tylko towarzystwo było trochę krępujące. Wraca do domu. Raz jeszcze jutro uruchomi dla niepoznaki nadajnik i zamilknie. W podwórku na Prostej brat przygotował już wyłożony papą bunkier (zachował się do dziś) przysypią stację węglem i niech ktoś czym prędzej ją zabiera. To czym prędzej nastąpiło 1 stycznia 1944 roku. Konnym wozem przewieziono skrzynie w inne miejsce Częstochowy, Zębik daje do zrozumienia, że je zna, ale oficjalnie nie wie gdzie. Tam jak się zdaje przechowywana przez siedem miesięcy aparatura po raz pierwszy złapała wilgoć. W lipcu 44 niemiecką ciężarówką wojskową za opłatą 50 tys. złotych przewieziono ją do Warszawy. Tu złożona znów w niedogodnych warunkach zmokła na deszczu.

Na dobitek w pierwszym dniu walki człowiek „pilotujący" nadajnik ginie, a dom w którym ukryto skrzynię z aparaturą wpada w ręce Niemców. Wszystko wskazuje na to, że tu kariera przyszłej „Błyskawicy" by się skończyła, gdyby nie fakt, iż przygotowywana na powstanie główna radiostacja „Politechnika" znalazła się również po stronie niemieckiej. Zaczęto szukać stacji częstochowskiej. Odbita szturmem trafia do rąk inżynierów krótkofalowców. Mokra, bez mikrofonu, gramofonu, kabli łączących i schematów. 5 dni technicy pod kierunkiem inżynierów Brodziaka i Kitznera (późniejszej obsługi technicznej) suszą lampami żarowymi uzwojenia transformatorów. 7 sierpnia stacja rusza na klucz, ósmego, jako główny nadajnik foniczny walczącej Warszawy. Umykając przed lotniczymi goniometrami i bombardowaniem, pełni w czterech kolejnych punktach miasta swą służbę aż do 3 października, kiedy to po kapitulacji rozbijają ją zwyczajnym młotkiem. Zostanie po niej kwarc — serce stacji, który wraz z jej komendantem odbędzie tułaczkę przez roboty przymusowe i wróci do Warszawy, gdzie jest. Czeka na miejsce w muzeum.

Osobne ważne miejsce na marginesie reportażu ma programowa działalność „Błyskawicy". Tę warto polecić historykom już nie tylko radia. Wokół stacji — jako środka przekazu — ścierały się poglądy i działanie dwóch (ogólnie biorąc) grup programowych. Pierwszą stanowił zespół BIP-u (Biura Informacji i Propagandy KG AK). Ten przygotowywał materiały informacyjne dotyczące walki zbrojnej. Ale działa też zespół programowy „Polskiego Radja" (pis. przedwojenna) nadający materiały o szerszej refleksji społecznej, politycznej, mówiące o losie ludności cywilnej Warszawy, jej nastrojach, cierpieniach. Relacje z obu stron wskazują na to, że nie było tam sielanki i zgody. W zespole „Radja" działał znakomity publicysta Edmund Osmańczyk, a fragmenty jednego z jego komentarzy nagranych przez nasłuch BBC 24.8.44 r. mamy obecnie w naszej radiowej fonotece. Odnotujmy też, że programy „Błyskawicy" i „Polskiego Radja" nadawane były w różnych godzinach z wyraźnym zaznaczeniem w zapowiedzi i nawet lektorowane przez różnych spikerów. Dr Maciej Kwiatkowski, który pisze o „Błyskawicy" w swojej książce poświęconej historii Polskiego Radia („To już historia" Wyd. PRiTV) biorąc udział w nagraniu mojego telewizyjnego reportażu, który będzie emitowany 26 sierpnia w programie I telewizji, miał okazję spotkać się osobiście i z Antonim Zębikiem i z Czesławem Brodziakiem i ze Zbigniewem Kitznerem. Obiecał, że „błyskawicową" relację poszerzy. W rzeczy samej ludzie, którzy tę stację zbudowali i dla informowania świata o walce Warszawy uratowali, na to zasługują.

(Zdjęcia autora)

Po latach spotkanie w Warszawie przed dawnym gmachem PKO (dziś Poczty Głównej na Świętokrzyskiej). Od prawej: Antoni Zębik, inżynierowie: Czesław Brodziak i Zbigniew Kitzner, którzy uratowali i obsługiwali stację przez niemal cały czas jej powstańczej pracy.

Nowej „HISTORII POLSKI" TOM PIERWSZY

Zgodnie z zawartą w poprzednim felietonie zapowiedzią chciałbym dziś zatrzymać się dłużej nad pierwszym z czterech tomów nowej, wydanej świeżo przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe zbiorowej „Historii Polski", opracowanej przez grono historyków z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tom ten — opracowany przez Jerzego Wyrozumskiego — doprowadzony został do tradycyjnej daty 1505 r., to jest do przyjęcia na sejmie radomskim konstytucji „Nihil novi", otwierającej czasy demokracji szlacheckiej w Polsce. Sprawą dyskusyjną wydają się jednakże przyjęte przez autora proporcje w opracowaniu poszczególnych chronologicznych okresów dziejów. Jest najzupełniej zrozumiałe, że rozpoczął on swój wykład od rzutu oka na ziemie polskie w starożytności, by następnie przejść do omówienia zarania feudalizmu, to jest czasów aż do połowy X wieku. Rzecz jednak w tym, że w książce zbyt silnie zaznaczyła się dysproporcja między opracowaniem czasów dawniejszych a późniejszych. Autor zastosował — odstępując od niej jedynie co się tyczy czasów najdawniejszych — sztywną zasadę, by na każdy z wyróżnionych przez siebie okresów poświęcić mniej więcej po pięćdziesiąt stron tekstu. W rezultacie czasy wczesnośredniowieczne, o których mimo wszystkich wysiłków nauki wciąż niewiele wiadomo, otrzymały tyle samo stron, co okres nazwany przez autora „pełnym" rozbiciem dzielnicowym, w którym nie tylko działo się bardzo wiele, ale który jest znacznie lepiej udokumentowany źródłowo. Podobnie z dalszymi okresami: wiek XIV do schyłku rządów andegaweńskich otrzymał z rąk Wyrozumskiego akurat tyle samo stron co okres poprzedni, jak również i następny — czasy jagiellońskiej monarchii stanowej. Tego rodzaju sztywny podział doprowadził do znacznych niejednolitości w sposobie ujęcia problematyki, w samej autorskiej narracji. Otóż gdy w pierwszych częściach książki J. Wyrozumski znalazł miejsce po temu, by przedstawić czytelnikowi różne poglądy nauki na dyskutowane zagadnienia i samemu zająć wobec nich jakieś stanowisko, im dalej w las, tym mniej tego rodzaju refleksji, tym większa kumulacja faktów, spiętrzenie informacji prowadzące do tego, że późniejsze średniowiecze zaczyna pod piórem autora przypominać wysmażony kotlet tuzinkowych podręczników do nauczania historii, w których wszystko jest bezdyskusyjne, podane do wierzenia, nie zaś do własnych rozmyślań. W rezultacie czytelnik tej książki będzie miał wcale spory zasób wiedzy o czasach najdawniejszych, będzie znał stanowiska nauki w takich sprawach jak pochodzenie Słowian czy niuanse polityki pierwszych Piastów, znacznie zaś mniej — w stosunku do tego, co ustaliła już nauka historyczna — będzie wiedział o czasach Łokietka czy Kazimierza Wielkiego, nie mówiąc już o Jagiellonach. Gorzej, że może sobie wyobrazić, że co się tyczy tych ostatnich, to właściwie nie ma w historjografii różnic zdań i właściwie wszystko już zostało przez historyków wyjaśnione.

Sposób ujęcia poszczególnych części jest w książce J. Wyrozumskiego zgoła tradycyjny. Nie jest już bowiem dziś nowatorstwem rozpoczynanie każdego rozdziału od rozważań o podstawach geograficznych Polski w danym okresie czasu, nie jest żadnym nowatorstwem omawianie następnie stosunków produkcyjnych, by zaraz potem przejść do społecznych. Dzisiaj jest to już swego rodzaju podręcznikowo-wykładowy kanon, tak samo rozpowszechniony, jak niegdyś inny kanon, wysuwający na czoło tylko zagadnienia polityczne. Czy jednak i on nie ma niedostatków? W moim przekonaniu posiada ich wiele, a to przede wszystkim dlatego, że sugeruje stosunek jak gdyby bezpośredniego wynikania w kierunku: gospodarka — społeczeństwo — polityka i nie pozostawia miejsca na rozważenie relacji, zachodzących dialektycznie również w kierunku przeciwnym. Koronnym wszakoż niedostatkiem przyjętego — nie tylko zresztą przez autora tej książki, ale i dziesiątki innych — ogólnego kanonicznego schematu jest, że pozostawia on poza całością tak istotną sferę rzeczywistości dziejowej, jaką jest dziedzina najszerzej rozumianej kultury. Rozważania o kulturze zostają tedy — i tak jest niestety również w opracowaniu J. Wyrozumskiego — doczepione gdzieś na końcu rozdziałów, po omówieniu wszystkiego tego, co było rzeczywiście ważne. Sfera kultury — potraktowana po macoszemu — staje się w rozumieniu czytelnika jak gdyby bierna dziedzina procesu historycznego, czymś na co wszystko inne wywiera swój wpływ, co jednak jest czymś jedynie towarzyszącym zmienności dziejowej rzeczywistości. O tym, że tego rodzaju stanowisko jest dzisiaj — również i w naszym kraju — anachronizmem, długo pisać nie trzeba.

Nie chciałbym, aby czytelnik tego felietonu odniósł wrażenie, jakobym uważał książkę J. Wyrozumskiego za nieudaną. Nic podobnego. Wszystko, co tu napisałem, prowadzi mnie do wniosku, że autor zaproponował kompetentne, ale raczej podręcznikowe, aniżeli syntetyczne — we współczesnym rozumieniu tego pojęcia — opracowanie dziejów polskiego średniowiecza. Uczynił to podług wszelkich „reguł sztuki" w taki sposób, jak się to zwykle czyni w uniwersyteckim wykładzie. Uczynił to jednak w sposób jak najbardziej — dla naszej współczesnej historiografii — tradycyjny i to właśnie jest głównym mankamentem tego opracowania. To też doprowadziło do uderzających dysproporcji, o których już była mowa, jak również zbyt „dziedzinowego", nie zaś rzeczywiście syntetycznego ujęcia całości.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Foto: W. Parys

HORACY SAFRIN

INTER ARMA

Krzyk przeraźliwy. Ciżba gapiów zbita.
Co tam? Na jezdni spłoszyły się konie,
wóz ciężki wjechał w ogródek na stronie,
dziecko dostało się pod kopyta...

Czemuż mnie smutek niezmierzony chwyta
i nieci w piersiach współczucie gorące?
Wszak co dzień giną na frontach tysiące,
a serce milczy i o nic nie pyta.

Ach, jakiż geniusz arcydoskonały
nad myśli naszych góruje polotem?!
On, co do walki bratobójczej kusi –

on, co naszymi rządzi ideały,
wiarę narzuca nam, że tak być musi
i rozkazuje nam: „Nie myśleć o tem!"

1917 r.

ELEGIA JESIENNA

Pamięci Cesi

Jeszcze pachnie kwiatami, fruwa babie lato,
dzwoni park wysrebrzony księżyca poświatą.

W dali dudnią pojazdy, warczą motocykle.
Siódma wieczór. Siedzimy na ławce, jak zwykle.

W trawie igra światłocień, wdzięczą się matiole.
Mówimy o miłości, Annie Sten i szkole.

„Jutro..." – mrużysz znacząco oczka swe hajducze.
Cyt, kochanie, ja wolę nie myśleć o jutrze!

Jutro przyjdą szarugi, niebo się odgwiezdni,
martwe liście opadną i przylgną do jezdni.

Zalopocą konary w przedśmiertnej malignie.
Przejdziem mimo, na wargach uśmiech nam zastygnie.

Jutro może ty sama niepewnym półgłosem
wypomnisz mej siwiźnie twych szesnaście wiosen.

1937 r.

Sześćdziesiąt pięć lat temu — w roku 1913 — Horacy Safrin ogłosił w Stanisławowie swój pierwszy tom wierszy. Był wtedy czternastoletnim chłopcem ale twórczość zaczęła się dla Safrina wcześniej. Mając lat dwanaście opublikował swój pierwszy wiersz na łamach tygodnika „Życie Stanisławowa".

Potem skierował Safrin swoje pasje w kierunku teatru. Zrazu studiował w Wiedniu filologię angielską i niemiecka, ale w końcu pochłonął go teatr. Do roku 1939 był kierownikiem literackim teatru w Stanisławowie. Reżyserował, występował także na scenie.

A potem przyszła wojna i rzuciła Horacego Safrina do dalekiego Kazachstanu Tak więc młodziutki debiutant ze Stanisławowa wydał swoją następną książkę dopiero w roku 1957. Była to „Ośla szczęka" — zbiór poetyckich bajek, w których w latach następnych osiągnął Safrin prawdziwą maestrię.

Pisze je zresztą do dziś, a także humoreski, wiersze, przekłady — głównie z Heintego, poety pod którego urokiem jest Safrin od dziecka. Od roku 1957 wydał Horacy Safrin kilka książek z których jedna osiągnęła parę wydań i szczyty popularności i wciąż jest poszukiwana. Mowa tu oczywiście o antologii humoru żydowskiego „Przy szabasowych świecach". Zawarł pisarz w tej niecodziennej, unikalnej książce obraz nie istniejącego już świata prowincjonalnych miasteczek, osad i gmin kresowych — zawarł dowcip, głęboką, mądrą filozofię i wielki humanizm tego umarłego już świata. Trafność obserwacji, świetne pointy satyryczne sprawiają, że utwory anegdotyczne Safrina należą do najlepszych w polskiej literaturze satyrycznej.

Horacy Safrin ma dziś 79 lat i 65 lat twórczości literackiej za sobą. Jest wciąż młody duchem — wciąż powstają nowe wiersze, przekłady, poetyckie bajki. Nieprzypadkowo swoją księgę wspomnień („Ucieszne i osobliwe historie mojego życia", WŁ, 1970) zaopatrzył sędziwy pisarz w motto z Walta Whitmana: „Co obecnie tworzysz? — Żyję — odpowiedział poeta". Dla Safrina bowiem ż y ć znaczy t w o r z y ć.

Horacy Safrin, pisarz dobiegający osiemdziesiątki, wciąż w pełni sił twórczych, buduje kolejne rozdziały swojego twórczego życia.

Jan Huszcza

DWA LISTY

„...Chłopcze, jak żal mi!"
(Mieczysław Jastrun: Uczeń).

Doprawdy czuję się głupio, że znowu muszę przytoczyć swój własny wiersz, ale jest to w wypadku tego opowiadania nieodzowne. Czy nawet opowiadania? Chodzi przede wszystkim o dwa listy, które otrzymałem pod koniec 1972 roku z Krakowa. Żeby nie było nieporozumień, właśnie na wstępie podkreślam, że najważniejsze są tutaj te dwa listy, łaskawie przez moją Czytelniczkę przesłane mi do przeczytania i przepisania. Jestem zresztą przekonany, że moje zastrzeżenia będą za chwilę zbędne, z samego tego tekstu wyniknie, iż te dwa listy są tutaj najważniejsze, gdyż stanowią skromne, ale wymowne dokumenty.

Z ciężkim tedy westchnieniem zaczynam najpierw od swojego wiersza... Napisałem go na początku lat pięćdziesiątych, był mnie samemu bardzo potrzebny, więc może i dlatego jest dość słaby, wstydzę się zwłaszcza jego zakończenia, które jest zupełnie banalne, gazetowe. Ale doszła do mnie spóźniona wiadomość, że mój przyjaciel z kazachstańskiego sioła zginął w walce. Wiadomość była odarta ze szczegółów: Mietek czy to zginął od razu, czy to zmarł dopiero w jakimś szpitalu po operacji, nie udało się go uratować, gdyż rany były ciężkie.

Wyjechałem z owego rosyjskiego sioła w grudniu 1943 roku, Mietka powołano do wojska nad Oką nieco wcześniej. I znowu jest mi głupio, ale z innego powodu. Oto pamiętam dokładnie młodego chłopca o jasnej, nieco piegowatej twarzy, łagodnego, uśmiechającego się zawsze z wdziękiem, słyszę bez trudu i dziś jego głos, idziemy po ciężkiej pracy na spacer i odpoczynek do sosnowego lasu bez poszycia, albo zimą brniemy w śniegu, by szukać suchych gałęzi na opał, ściągać je wypożyczonym osękiem ze starych drzew. Bardzo mi głupio — znałem jego matkę i ojca, kawalera Krzyża Niepodległości po pierwszej wojnie, który po drugiej wojnie wrócił z drugiego korpusu, walczącego na Zachodzie, i osiadł w pewnym miasteczku w województwie szczecińskim, ale nie mogę powiedzieć, do której klasy gimnazjalnej Mietek uczęszczał przed wojną, ile mógł mieć lat. Sądzę, a nawet jestem przekonany, że nie więcej niż siedemnaście. Jednym słowem, niedawny sztubak, żółtodziób.

Nuże, niech przytoczę ten wiersz pod tytułem „Pamięci Mietka W..."

I

Kiedyś odjeżdżał, żeby dostać
broń i gwiazdki w szkole riazańskiej,
zbiory pszenicy siał i prosa,
chleb dla frontu step kazachstański.

Kiedyś odjeżdżał, głos harmonii
przyjaciół z sioła cichnął długo.
Piołun z tawułą biegł pod konie,
step gasł sierpniową, mglistą smugą.

Młodziutki, jeszcze nie zdążyłeś
wśród wielu oczu spotkać takich,
w których dla ciebie blask i miłość,
i ranek śpiewny, lot i ptaki.

II

Od Oki szedłeś, a tęsknota
ciążyła bardziej niż broń twoja.
Aż kraj się w brzozach zaszamotał,
powitał dymem, ogniem w bojach.

Brzegi rysując i ławice,
nad Wisłą ranek wschodził rdzawy.
Gdyś upadł, chyba w twych
źrenicach
płonącej zastygł błysk Warszawy.

Słuchając Wisły, w szumie nieraz
i twoje imię także słyszę.
Kto w walce padł, ten nie umiera,
lecz jest żyjących towarzyszem.

Już wtedy wiedziałem, że Mietek zginął dopiero w 1945 roku i nie nad Wisłą, ale wiersz to przecież nie sprawozdanie, nie reportaż, wynika z potrzeby uczuciowej i z wyobraźni, która z kolei rządzi się własnymi prawami i upodobaniami, a co gorsza — także nawykami. Najmniej ważne są w wierszu ścisłe, autentyczne szczegóły, próżno doszukiwać się weryzmu.

A jednak do dziś ludzie tak podchodzą do tekstu literackiego. Nawet czasem ludzie, po których można się spodziewać większej wiedzy na ten temat. Stąd pochodzą nierzadkie nieporozumienia rozmaitego rodzaju. I w tym wypadku zdarzyło się coś podobnego. Gdy wiersz ukazał się w jednym z szacownych miesięczników literackich, otrzymałem list z redakcji pisma żołnierskiego, iż chcieliby go przedrukować ale proszą o komentarz prozą, kogo konkretnie tekst dotyczy. W moim przekonaniu dotyczył wielu młodych żołnierzy, w dodatku, jak już zaznaczyłem, nie rozporządzałem i do dziś nie rozporządzam wiarygodnymi szczegółami. Wiersza więc prawdopodobnie nie przedrukowano.

Ja zaś ponownie włączyłem go do kolejnego tomiku swoich wierszy, który ukazał się w 1972 roku. I dopiero w owym roku, za pośrednictwem tej książeczki, dotarł on do Czytelniczki, która miała wszystkie powody, by go właściwie odczytać, by nim się zainteresować. I to ona zmusiła mnie niejako, by jeszcze raz wrócić do tamtych, tak bardzo oddalających się lat. Czytelniczka, jak się okazało, pochodziła z mego miasteczka gimnazjalnego, była jednak młodsza ode mnie, nic nie wiedziałem o jej w miasteczku istnieniu, choć trochę znałem jej ojca. Czytelniczka ta również znalazła się w Kazachstanie, w znanym mi, ale znacznie mniejszym od m o j e g o, siole, oddalonym o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Należy zapewne do rówieśniczek Mietka, obecnie jest wdową, ma dwoje dzieci. Jeśli w listach mówi się o miłości — to w moim przekonaniu było to bardziej przeczucie, że jest miłość, potrzeba miłości, niż miłość, w każdym bądź razie nie miało to nic wspólnego z dzisiaj upowszechnionymi w obyczaju pojęciami o miłości. I w tym miejscu chciało by się użyć przymiotnika od słowa raz użytego: sztubacka miłość, pełna onieśmielenia, samo może niedomówienie. Oczywiście, nic o niej w kazachstańskim siole nie wiedziałem, ani razu Mietek o niej nie wspominał, mimo iż w wielu sprawach byliśmy bardzo szczerzy.

Pisze do mnie ta moja Czytelniczka z Krakowa:

„Szanowny Panie! Proszę wybaczyć mi, że ośmielam się napisać do Pana. Mam chęć uczynić to po przeczytaniu każdej Pana książki, ale zdecydowałam się dopiero po przeczytaniu Pana poezji pt. „Podróż sentymentalna". Czy wiersz pt. **Pamięci Mietka W...** poświęcony jest Mietkowi Wnukowi? Czy tak? Dziękuję...".

W tym wypadku wystarczy ten urywek. Owszem, odpowiedziałem w dłuższym liście, wiersz jest poświęcony pamięci Mieczysława Wnuka. Oto usuwam inicjał z wielokropkiem, niech po latach pojawi się pełne nazwisko.

Coraz mi bliżej do tych dwóch listów!

Jeszcze tylko muszę się zwierzyć z kłopotów natury, szumnie mówiąc, edytorskiej. Młody chłopak — gimnazjalista — wcześnie został wyrwany ze swojego naturalnego środowiska językowego, nie mógł nabyć poważniejszej umiejętności pisania po polsku. Zresztą jest ona w ogóle rzadsza niż można się spodziewać. Nic więc dziwnego, że jest „trochę w tej mowie niegramatycznościów". Czy wystąpić tutaj w charakterze adiustatora, chociaż sam dotąd, mimo moich starań, popełniam czasem błędy?

Chyba nie wystąpię w takim charakterze. Błędy też mają jakąś wymowę, ich usuwanie byłoby czegoś tam fałszowaniem.

Decyduję się natomiast na coś innego: zmieniam na wszelki wypadek imię adresatki, wykropkowuję te nazwy miejscowości, które są mi dobrze znane, komu innemu nic jednak nie powiedzą, niektórych bowiem nie odnajdzie się na żadnej mapie, chociaż daję słowo, że owe sioła i owo miasteczko istniały i istnieją.

Zgłaszam ponadto pretensję do przypadku, który tak wielką odgrywa rolę w życiu ludzkim. Maurois gdzieś napisał: „Nici, z jakich utkane jest życie, przeplatają się czasami w sposób nieoczekiwany, dziwaczny i szczęśliwy". Szczerze mówiąc, moim zdaniem, o wiele częściej w sposób dziwaczny i fatalny niż szczęśliwy. Kwestia to zresztą indywidualnych doświadczeń, mniejsza tutaj o to. Pretensja zaś moja sprowadza się do tego, iż w sierpniu 1944 roku jako dziennikarz z lubelskiej gazety „Rzeczypospolita" odwiedziłem naszą brygadę pancerną im. Bohaterów Westerplatte, byłem w różnych jej jednostkach, wiele na motocyklu przebrnęliśmy piasków, rozmawiałem z wieloma żołnierzami i oficerami — niestety, przypadek nie zetknął mnie z Mietkiem! A przecież, psiajucha, mógł!

No i nareszcie jestem przy listach!

List pierwszy, pisany w siole kazachstańskim 24 stycznia 1941 roku, w którym to siole, jeśli u nas na ten przykład jest godzina dwunasta, to tam już chyba piąta czy szósta wieczorem.

„Zosiu! Dawno już starałem się o Twój adres, chciałem dowiedzieć się gdzie pożywa moja dawna towarzyszka zabaw. I gdy dowiedziałem się miejsce Twego pobytu, zaraz postanowiłem do Ciebie napisać. Może uznasz to za niewłaściwy krok ze strony mojej ale trudno, nie mogłem wytrzymać, żeby nie napisać do osoby z którą niegdyś spędziłem tyle wesołych chwil. To też bądź Zosiu dobra i odpisz. — W S... pamiętasz gdy byliśmy tak blisko siebie, jednak nie odważyłem się z Tobą nawiązać rozmowy, mimo że tak chciałem to zrobić. Dawna znajomość nie tak prędko przechodzi. I piszę, by nawiązać z Tobą korespondencie w dalekim Sybirze w oddali od naszej umarłej „mamusi". — My żyjemy w siole M... pospolicie zwanym ... Jest to ruskie sioło, latem życie było jeszcze możliwe, mąka była nie droga, praca była i jakoś to tu, to tam zarabialiśmy na chleb, ale z nastaniem zimy życie zrobiło się „djabła" warte. Mąka doszła do 250 rubli. Kartofli prawie nie ma, tłuszczów nie ma. Jedyna nadzieja w pomocy od krewnych z Białorusi. A u Was jak z życiem? co robiliście latem? Jak Wasze zdrowie? co ty porabiasz? Jakie u Was nowiny? U nas nadzieja nie upadła, myślimy doczekać tego... wiesz? Co słychać o Tatusiu? My o swoim nic nie wiemy. Na tym kończę. Zasyłam ukłony Wszystkim Polakom! Bądź dobrej myśli Zosiu! Mietek. Czekam Odpowiedzi!!! Mój adres:...".

Chyba nic w tym liście nie wymaga wyjaśnienia, nawet owo słowo „mamusia", które oznacza Polskę, nawet ów wielokropek, który oznacza powrót.

I teraz list drugi, z 4 października 1944 roku.

„Szanowna Zosiu! Sporo już czasu upłynęło od czasu, gdy nasza korespondencja została naruszona. Nie będę się zbytnio usprawiedliwiał, że to nie moja wina, lecz muszę powiedzieć, że i Twoja była w tym wina. Twoje listy, Zosiu! przyznam Ci szczerze, swoją obojętną i zimną zbyt (jak na nasze stosunki) treścią doprowadziły do stanu zupełnego odrętwienia między nami. I po prostu dawały one mnie do zrozumienia, że nasza łączność utrzymuje się tak sobie od niechcenia. — Lecz chwila a, w którą zacząłem pisać do Ciebie, zbyt była ciężka do przeniesienia jej w samotności, więc postanowiłem podzielić swoje smutki i radości z tym człowiekiem, z którym dzieliłem to w przeszłych „złotych latach". Tym człowiekiem jesteś dla mnie Zosiu Ty! Nikt inny. — Jak chcesz tak osądź mój postępek i te słowa. Lecz prosiłbym o jedno, jeśli masz zamiar mi dać odpowiedź, to by ona była podobna do jednej z tych jakie dawałaś w .... — Jak Ci wiadomo, zostałem pobrany do Wojska Polskiego w 1943 r. razem z T... Dostałem się do Brygady Broni Pancernej im Boh. Westerplatte. Niespełna po 10 mieś. otrzymałem stopień starszego sierżanta. Opinie sobie wyrobiłem dobrą. Zresztą o to nietrudno, bo gdy do ludzi się dobrze odnosisz, to i ludzie do ciebie również. W bojach udział braliśmy do 1944 r. Wszędzie, gdzie Polskie formacje starły się z „Frycem" on pakazywał pięty. — Gdyśmy wkroczyli na ziemię ojczystą, nie wyobrażasz sobie Zosiu! Jak nas spotykano! Nie będę tego opisywał, gdyż brakłoby mi na to papieru. Ale gdy się kiedyś znów spotkamy, opowiemy sobie wszystko od początku do końca, a przyznam Ci się że tego pragnę więcej czym czego innego. W Lublinie entuzjazm ludzi przerósł wszystkie przewidywania, to samo i na Pradze. Zosiu! Jak Wy tam Polacy żyjecie? czy do Was dochodzą echa naszych armat? czy dochodzą do Was wiadomości z życia powstającej do życia Polski? — Jak u Was z życiem? Czy słychać o wyjeździe? Prędko Was przywiozą bliżej do nas. I to na pewno. O Zosiu! Ty chyba nie widziałaś od dawna postaci polskiego żołnierza. Cudnie chłopaki wyglądają. — Mam do Ciebie prośbę Zosiu, przyślij mi swoją fotkę na pamiątkę, tylko nie odmawiaj się że nie masz. Jeżeli nie przyszlesz to będzie znaczyło, że nie chcesz mieć ze mną takich stosunków jakie mieliśmy kiedyś. Zatem kończę. Ściskam Twą dłoń. Całuję mocno Mietek. Ukłony Mamusi i siostrzyczkom! M.".

List drugi jest zaopatrzony w numer poczty polowej.

I to już wszystko!

* * *

Dopiero po paru latach jakie upłynęły od czasu napisania tego tekstu, dowiedziałem się o istnieniu pewnej księgi, którą udostępniono mi w najstarszej łódzkiej książnicy im. Ludwika Waryńskiego.

Jej tytuł: Księga Poległych na Polu Chwały", Wyd. MON, Warszawa 1974.

Znalazłem w tej olbrzymiej księdze żałobnej wielu ludzi mego nazwiska, znalazłem też informacje o Mietku:

„Wnuk Mieczysław s. Władysława, ur. 1925, ppor. 16 pp, zmarł z ran 1. V. 1945 w szpit. ew. w Poznaniu".

To już naprawdę wszystko.

NA POŁUDNIE PO SŁOŃCE

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

O tym by pojechać do Bułgarii pociągiem, lub polecieć samolotem trzeba myśleć kilka miesięcy naprzód. Jest znacznie więcej chętnych, którzy jeszcze nie wyczerpali swoich limitów dewizowych niż możliwości przewozu. Dla decydujących się ad hoc pozostaje tylko samochód lub... auto-stop (Widzieliśmy takich ryzykantów). Wyjechaliśmy nieplanowo czyli samochodem, z czteroosobowym nomiotem „na wszelki wypadek", ale ta asekuracja okazała się zbędna. Uprzedzając fakty powiem, że baza noclegowa w Bułgarii i Rumunii (gorzej na Węgrzech) nie jest chyba nawet w pełni wykorzystana.

Na miejsce dwutygodniowego pobytu chcemy dojechać jak najszybciej. Trasa przez ZSRR jest zamknięta, podobno kończy się budowę nowego przejścia granicznego i nowej krótszej drogi. Najbliżej więc z Łodzi do Przełęczy Dukielskiej. I do Dukli zajeżdżamy wieczorem, aby jak najwcześniej znaleźć się na przejściu granicznym w Barwinku. Zupełny automatyzm myślowy, obawa przed wyczekiwaniem w kolejce. I rozczarowanie, tylko trzy samochody. Oby tak dalej. Niemniej swoje półtora godziny odstaliśmy. Bóg wie dlaczego? I chwila strachu. Nie mam książeczki z talonami na ubezpieczenie samochodu mimo uiszczenia opłaty. Ktoś tam gdzieś nie poinformował. Na szczęście można ją wykupić na granicy.

Przez Słowację w deszczu, droga kiepska, słabo oznakowana. Na dodatek objazd na trasie do Koszyc. Kilka minut na granicy i już Węgry, Miskolc, Debreczyn, gdzie zupełnie przypadkowo odnajdujemy drogowskaz na rumuńską Oradee. Pogoda się poprawiła, ale czas ucieka. Na przejściu niewesołe miny, przed nami z pięćdziesiąt wozów. Posuwamy się po kilka metrów, mizernym pocieszeniem jest stumetrowa kolejka za nami. Przyczyna jest prosta, jest nią dość szczegółowa kontrola celna. Kto może być tym zachwycony? Gorzej znosi się pytanie: co pan wiezie na handel? Z trudnością, ale reaguję spokojnie, bo oni swoje wiedzą i dużo czasu upłynie nim zmieni się opinia o naszych turystach, z których jakaś część w ogóle nie zasługuje na to miano, inna zaś ma „ambicje", że by wyjazd za granicę dzięki różnicom cen, albo „zwrócił" się, albo przynajmniej wypadł jak najtaniej.

Jakby potwierdzeniem tych niewesołych rozmyślań nad kondycją moralną niektórych rodaków jest przyjazd do Cluj. Hotele w Rumunii dla obcokrajowców są drogie i szukamy takiego, żeby zaoszczędzić trochę lei na powrotną drogę. I taki hotel, całkiem zresztą przyzwoity, znajdujemy. Ale czy to na parkingach, czy w recepcjach jesteśmy nieustannie nagabywani. Gama propozycji jest bardzo szeroka, od pewnego gatunku polskich papierosów do zakupu dolarów. I zdziwienie, że nic nie mamy do zaoferowania. Jak to, naprawdę, nic nie przywieźliście?

A nazajutrz znów inny kwiatek. Pośrodku jakiejś wsi fiat-125p z literkami PL otoczony przez spory tłumek. Myślę że wypadek, hamuję, ale dostrzegam otwarty bagażnik i kramarskie gesty jakiegoś faceta. Pozostaje tylko pocieszenie, że większość jedzie po słońce. A jak jeżdżą? Szybko, lecz pewnie, w sposób zdyscyplinowany i... sympatyczny. Nie zdarza się aby samochody z polską rejestracją minęły się bez przyjaznego gestu czy mrugnięcia światłami. Udzielenie sobie pomocy, czy informacji jest sprawą oczywistą. Im dalej od granicy, to już nie gesty, lecz solidarność. Szkoda, że tylko za granicą a tak rzadko w kraju.

* * *

Osiedle „Zora" położone jest przy drodze ze Słonecznego Brzegu do niewielkiej osady Vlas, administracyjnie stanowi część głośnego kurortu. Znajduje się tu około trzydziestu domków z których 19 oddano „Orbisowi". Osiedle wygląda niezwykle malowniczo, zbudowane tarasowato, od najwyższego poziomu schodzi pod sam morski brzeg. Domy z czerwonej cegły w niczym nie przypominają willowych bunkrów, są wkomponowane w zieleń ogrodów, architektonicznie zróżnicowane dzięki werandom, tarasom, zewnętrznym kominkom z paleniskami, kombinacją drewna, kamienia wapiennego, cegły.

Należymy do tych szczęśliwców, którzy się tu mogli na dwa tygodnie osiedlić, porównując z kempingami czy nawet hotelami, w rzeczywiście luksusowych warunkach. Czteroosobowa rodzina dysponuje dwoma sypialniami, salonem i kuchnią, są także dwie łazienki. Oczywiście gorąca woda, lodówka, telewizor i pozostałe wyposażenie na „wysoki połysk". Kosztuje to drożej niż w hotelu i znacznie drożej niż na prywatnej kwaterze, ale i tak transakcja wydaje się bardziej korzystna dla turysty. Posiłki serwowane są w odległym o pięć minut spaceru „Harpunie", w jednej z szeregu restauracji na przemian z hotelami stanowiącej zaplecze kilkukilometrowej plaży.

Przyznam się, że nie bardzo dowierzałem orbisowskim reklamówkom, ale wszystko tu się nad podziw zgadzało. Skąd się to osiedle wzięło? Już pierwszego dnia indaguję o to rezydenta „Orbisu" Marka Lechowskiego. Ano pomysł był prosty, ale wyobrażam sobie jak trudny w realizacji. Otóż różni ludzie w przeszłości pobudowali sobie tutaj dacze. Mieszkańcy Sofii, Burgas, ludzie różnych, głównie wolnych zawodów. „Balkantourist" za wysokim odszkodowaniem dokonał rewindykacji tych obiektów powiększając swoją bazę. Część byłych właścicieli wybudowało sobie domki wyżej, w górach, część chyba odwiedza Zore jako... klienci. Jak anegdota brzmi dla mojego ucha, że jedna z bardziej okazałych willi obecnie adaptowana na oryginalną, ludową winiarnię należała do głównego architekta (jest nim nadal!) Słonecznego Brzegu. W barze zorganizowanym w stylu amerykańskim, po drugiej stronie osiedla, zwraca uwagę efektowny wystrój wnętrza z panneau na głównej ścianie; właścicielem tej daczy był znany malarz z Burgas.

* * *

A więc Słoneczny Brzeg! Znany wcześniej z opowiadań i niezłego koniaku o tej samej nazwie. Kariera niewątpliwie dzięki położeniu, 8-mio kilometrowa plaża tworzy jakby zatokę w zatoce, łuk między Neseberem a Emoną stanowi fragment Zatoki Burgaskiej. Dzięki temu morze jest tu zawsze spokojne, o łagodnej fali, ciepłe i czyste w odróżnieniu od portowego Burgas. Od strony lądu chronią przed wiatrami lesiste wzgórza.

Inżynier Walkan Stojanowski i Maria Dybowska z „Balkantouristu" nie żałuje mi czasu, żeby zaspokoić moją ciekawość. Dobrze trafiłem, bo Stojanowski, aktualny szef sekcji obsługi turystycznej kierował wcześniej sekcją polską, jego pracownica zaś jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego. Nie ma problemu z językiem, a w dodatku Stojanowski przechodząc z budownictwa do obecnej firmy do inżynierskiego dyplomu dorzucił w tym roku magisterium z „turystycznej" ekonomii i ze swej pracy pozwala mi zrobić użytek. Nie obejdzie się więc bez liczb.

Budowa Słonecznego Brzegu rozpoczęła się w 1958 r. Program zakrojono na szeroką skalę i zrozumiałe, że miał kilka etapów. Rozpoczęto skromnie, od małych parterowych pawilonów, kilku jednopiętrowych obiektów, paru restauracji. Budowano stale przez 20 lat, co roku przybywały nowe obiekty, coraz okazalsze. Obecnie — kiedy program w pełni został zrealizowany — bazę rekreacyjną stanowią: 112 hoteli (ponad 24,5 tys. łóżek) 344 bungalowy murowane, 382 bungalowy drewniane, (bungalowy to coś w rodzaju naszych domków kempingowych, ale większe i odpowiednio wyposażone) 44 restauracje, 18 lokali rozrywkowych. W gestii Balkantouristu pozostaje jeszcze motel, duży kemping oraz pozostałe „atrakcje" wypożyczalnie sprzętu, organizacja wycieczek, biura wymiany walut itd. Słowem: wszystko co turyście do życia i odpoczynku jest potrzebne. W sezonie daje to zajęcie dla 12 tys. osób.

A jakie są efekty? W ubiegłym roku odpoczywało w Słonecznym Brzegu prawie 355 tys. osób z czego obcokrajowcy stanowili 214 tys. W tej liczbie przewagę, prawie dwukrotną, posiadają turyści z krajów socjalistycznych — 144 tys. Najwięcej przyjechało ich z ZSRR (73 tys.), Czechosłowacji (27 tys.) oraz Polski i NRD (po 17 tys.), Węgrów było ok. 5 tys. — tę niewielką liczbę moi rozmówcy tłumaczą doskonałym zagospodarowaniem Balatonu.

Z krajów zachodnich zdecydowany prym wiodą obywatele RFN — ponad 36 tys., a więc ponad połowę turystów z tej strefy. Przebywali tu także, w niewielkich wprawdzie ilościach goście z tak „turystycznych" krajów jak Hiszpanii, Grecji, a nawet kilkaset osób z USA.

W bieżącym roku liczby te powinny mieć podobną skalę, może nieco mniejszą, jako że w czerwcu odbywały się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Próbowano temu przeciwdziałać instalując prawie 2 tys. telewizorów, ale wiadomo jak to jest z kibicami. W przyszłych latach nie przewiduje się budowy dalszych obiektów.

Dalsze działania pójdą więc w kierunku polepszenia jakości i atrakcyjności świadczonych usług. Doświadczenie podpowiada, że sam najwspanialszy klimat, dach nad głową i posiłek nie wystarczają. Konkurencja przecież istnieje i jest nią cała południowa Europa. Istotne są tu zwłaszcza wymagania turystów zachodnich, których może łatwiej jest przyciągnąć niż na stałe utrzymać. I rzeczywiście myśli się o tych sprawach.

Jeśli więc ma się odpowiednią ilość lewów i ochotę — nuda nie grozi. Dla zwolenników sportów wodnych są żaglówki, łodzie, rowery i narty wodne, rejsy stateczkami na Wyspę „Bolszewik", na Wyspę Robinsona, a także dalsze, do Varny, Mamai, Constancy. Dla szczurów lądowych wyprawy autokarowe w pobliskie góry „Chańskiej Szatry" czy „Pikniku", gdzie przy winie można obejrzeć atrakcyjne występy zespołów ludowych, czy wprost egzotyczny taniec na rozżarzonych węglach. Dla jeszcze innych jest restauracja „Variete" godna swej nazwy, z autentyczną ruletką. Atrakcją nie tylko dla dzieci, a także spełniającą bardzo praktyczne cele jest kolejka kursująca wzdłuż wybrzeża aż do Neseberu, który sam w sobie jest atrakcją turystyczną. Dodajmy do tego amfiteatr gdzie można posłuchać muzyki i popularnych wykonawców. Dla nudystów też znalazł się wydzielony zakątek plaży.

Z reklamacji osobistych zgłosiłbym tylko brak polskiej prasy, bo tylko w hotelu „Pallas" w którym wyłącznie kwaterują Polacy można przeczytać „Trybunę Ludu" i „Życie Warszawy" z tygodniowym opóźnieniem. Miłym natomiast zaskoczeniem była dość częsta obecność w telewizji polskich spraw, a nawet... łódzkich. Mianowicie któregoś wieczoru emitowano w TV „Zagrożenie" film zrealizowany w „Profilu".

* * *

To co napisałem powyżej jest jedną stroną medalu. Bułgarzy uznali turystykę za ważną gałąź gospodarki narodowej i konsekwentnie robią wszystko aby osiągnąć zamierzone cele. Ten z rozmachem rozkręcony biznes, w który niemało zainwestowano, nie jest łatwy w prowadzeniu.

Pozostańmy jeszcze przy przykładzie Słonecznego Brzegu. Kurort pracuje pełną parą od czerwca do września. W pozostałych miesiącach działa tylko kilka hoteli, które są przygotowane do całorocznej działalności. Pozostają ludzie zatrudnieni w ekipach remontowych, piloci, którzy szkolą się przez ten okres. Tysiące pozostałych rozjeżdża się po całym kraju. Część z nich wraca z kolejnym sezonem, przybywają nowi. Kłopotów ze specjalistami nie ma, jak twierdzi W. Stojnowski, ale z tymi nowymi są duże. Nim się ich nauczy, wdroży — i to wszystko na oczach ludzi z całego świata — nim się osiągnie jakieś wyniki, sezon się kończy.

Myśli się więc po osiągnięciu obecnego etapu, w przyszłości przemodelować nieco dalsze działania. Bułgaria to nie tylko 378 km wybrzeża, ale także turystyczne miasta w głębi kraju, 470 km Dunaju, lasy i tereny górskie, wiele miejscowości z klimatem i źródłami o właściwościach leczniczych. Sezonowy charakter wypoczynku powoduje, że wykorzystanie łóżek wynosi niewiele ponad 40 proc. (nad morzem znajduje się 53 proc. hoteli). O konkretnych działaniach w tym kierunku świadczą najlepiej dwie liczby. Jeśli w ciągu ostatnich dziewięciu lat ilość łóżek w hotelach w całym kraju niemal podwoiła się, to odpowiednio w miejscowościach nadmorskich wzrosła „tylko" ok. 40 proc.

W głąb kraju wytyczono także dziesiątki tras turystycznych. Przygotowano 27 gospodarstw leśnych do polowań dla turystów zagranicznych. Na zwiedzających czeka 5 parków narodowych o ogólnej powierzchni 35 tys. ha. a także 77 rezerwatów. Zinwentaryzowano i otoczono opieką ponad 500 miejsc uznanych za zabytki.

* * *

Kończy się pobyt w Zorze, przenosimy się do prywatnej kwatery, do odległego o trzy kilometry Vlasu. Zastanawiamy się wpierw czy nie do Neseberu, ale nie ma tam pod ręką plaży i jest zbyt tłoczno. Nic dziwnego, bo miasteczko jest perełką architektury, ma swój niepowtarzalny urok, jaki tylko może posiadać stare, nadmorskie miasteczko, zbudowane na skalnym cyplu wybiegającym w morze. Z chęcią tam kilkakrotnie zaglądaliśmy, ale tłumy na wąskich uliczkach, przepełnione sklepiki, stada tłustych i wielkich jak gęsi i niesamowicie przy tym krzykliwych mew — skutecznie nas zniechęcają. Vlas nie położone dalej jest pod tym względem jakby zaprzeczeniem Neseberu. Tylko niewielki ruch na ryneczku, który akurat przekopuje potężna koparka firmy „Waryński". W pobliżu kilka sklepów i restauracja z tarasem. Cała reszta to kilkaset jednorodzinnych domków z czerwonej cegły rozrzuconych po dość stromym zboczu.

Z wynajęciem kwater nie ma problemu. Więcej nawet. W wyznaczonym domu nie zastajemy gospodarzy. Nie musimy się zastanawiać co robić, wracać czy czekać, bo już pojawia się sąsiadka i zaprasza do siebie. I nie wypuszcza z rąk, bo jak się okazuje większość domków zbudowano z myślą o wynajmowaniu kwater, a chętnych, nie tak wielu jak zakładano.

Śmiejemy się, że skończyły się luksusy, ale tam zmiana ma swój urok. Tutaj bowiem dopiero „jest jak jest", normalnie, autentycznie. Zajmujemy dwa pokoje na piętrze, obok mieszka jugosłowiańska rodzina. W ogródku jest murowana umywalnia z bieżącą wodą, w murowanych komórkach prysznic i sławojka, bo całe Vlas dopiero w przyszłości zostanie skanalizowane. Ale wszędzie wzorowa czystość i niezbędne choć skromne wyposażenie. To zasługa Eleny, naszej gospodyni, która opiekuje się domem; mąż pracuje w Burgas i dojeżdża tylko na soboty i niedzielę.

„Zorganizowany" wypoczynek ma swoje zalety, człowiek ma wszystko z głowy, byle tylko przestrzegał rozkładu dnia. Wszystko jest z góry zaplanowane. Teraz sami sobie układamy porządek dnia. Wstajemy, kiedy mamy już dość spania, wybieramy się czy organizujemy w domu jakiś posiłek, kiedy czujemy się głodni. Na obiady jeździmy do okolicznych restauracji. Dzieci upodobały sobie „Mielnice", drewniany wiatrak, gdzie dziewczyny w ludowych strojach serwują kurczaki z rusztu i chleb jak biała puszysta bułka. Któregoś dnia jedziemy daleko za Vlas, w góry, w poszukiwaniu wodospadów i odkrywamy restaurację rybacką. Wielce to oryginalny obiekt. Położony tuż przy plaży, w niewielkiej zatoczce wygląda jak maleńka wioska murzyńska stłoczona na polance. Drewniane domki, po części odkryte, słomiane dachy, jeden tylko budynek bardziej solidny, z kominkiem, obwieszony sieciami rybackimi. Są nawet ryby! Kończymy posiłek i chcemy się zbierać, ale kelner tłumaczy nam cierpliwie, że trzeba poczekać na „program". Dopiero teraz dostrzegamy obok koncertującej bitowej orkiestry coś w rodzaju tanecznego kręgu. I rzeczywiście po kwadransie zaczyna się tu istna rewia. Bez przesady, bo występuje: ludowa grupa taneczna, piosenkarka, zespół akrobatyczny, nawet magik. Różnojęzyczna publiczność jest zachwycona, bawi się świetnie, nie żałuje oklasków... A wydawało nam się że trafiliśmy w taki uroczy, spokojny zakątek.

* * *

Mija trzeci tydzień i trzeba się zbierać. Mamy ochotę na dłużej pojechać w głąb kraju, odwiedzić znajomych w Sofii, ale obiecało się dzieciom pokazanie Bukaresztu, Brasov, Budapesztu i trzeba jakoś ten czas i kilometry dzielić. Odkładamy więc ten zamiar do następnego przyjazdu i... jedziemy do Wielkiego Trnova, starej bułgarskiej stolicy. Przy powrocie do przejścia granicznego w Russe nadkładamy kilkaset kilometrów, ale nie żałujemy.

Wracamy do „zaliczonego" wcześniej Burgas i wjeżdżamy na doskonałą drogę do Sofii. Podobnie jak i na trasie Russe — Varna podziwiamy rozmach bułgarskiego rolnictwa. Przyzwyczajeni do naszych miedz i poletek podziwiamy ogromne, doskonale utrzymane i wypielęgnowane plantacje winorośli, słoneczników, soi, chmielu, ginące w tle horyzontu łany pszenicy, kukurydzy, sady owocowe. Rzuca się w oczy duża ilość sprzętu, kombajnów, traktorów, duża ilość zraszających uprawy deszczowni, wzorowo utrzymane zabudowania wielkich ferm i gospodarstw rolnych. Bez rolnictwa na tak wysokim poziomie, nowoczesnego i wydajnego 9-milionowy kraj nie mógłby marzyć o przyjmowaniu takiej ilości turystów.

Nie chciałbym jednak by Czytelnik odniósł wrażenie, że tak łatwo tu wszystko przychodzi. Zaopatrzenie okręgu czarnomorskiego jest dużym wysiłkiem dla całego kraju. I im dalej w głąb kraju, można dostrzec pewne trudności zaopatrzeniowe, np. jeśli chodzi o przetwory mleczne, mięsne. Ten priorytet jest jednak minimalnie uciążliwy, są to raczej symptomy napięcia niż rzeczywisty problem. Ale sprawa niełatwa.

* * *

Wracajmy jednak do Trnova. Zgodnie z oczekiwaniem miasto jest oblężone przez turystów. O otrzymaniu miejsca w hotelu nie ma co marzyć. Pod miastem jest jednak duży kemping, gdzie część hotelową także okupują jakieś wycieczki, ale dwuosobowe domki w większości stoją puste. Spokojni więc o dach nad głową wyruszamy w miasto, a właściwie do starego miasta. Z kempingu najbliżej jest do Świętej Góry, skąd widok na całe miasto, z wyrysowaną w niej meandryczną, niebieską linią rzeki Jantry. Nie tylko przepiękny widok, ale jak się ma jeszcze plan w ręku, doskonały punkt orientacyjny. Wszystko jest jak na dłoni i poruszamy się potem po mieście, jak w doskonale znanym grodzie.

Nie interesuje nas zachodnia część miasta, z daleka bielejącymi wieżowcami domów mieszkalnych. Łazimy krętymi, tak nieraz wąskimi uliczkami, że ramionami można dotknąć dwóch przeciwległych domów. Wśród zarośli podchodzimy do Jantry, przechodzimy przez stary kolejowy most i z zadartymi głowami obserwujemy domki przyczepione do skał jak przysłowiowe jaskółcze gniazda.

Największą atrakcją turystyczną miasta jest „Cariewiec". Jantra koliście otacza tę skalistą wyniosłość jak wyspę z ruinami twierdzy pamiętającej początki obecnego tysiąclecia. Wielkim nakładem kosztów dokonano częściowej rekonstrukcji murów obronnych, barszt, bram. Trwają także intensywne prace wykopaliskowe. W jednym z budynków mieści się nawet filia Instytutu Archeologii, a na stanowiskach widać głównie młodzież studencką. Na samym szczycie pracują brygady budowlane, wśród nich żołnierze. To robota nieprosta, mozolna, długotrwała. Ale już teraz widać, że efekty będą imponujące.

Przez cały dzień, do późnego wieczora przemierzamy na wszystkie strony stare Trnovo. Właśnie, stare, ale nie skansen. Żyją tu przecież ludzie i część substancji miejskiej trzeba odtwarzać, budować nowe domy. Tutejsi architekci czynią to jednak umiejętnie, nowa architektura doskonale „koegzystuje" ze starą. Zaglądamy do galerii, muzeów, zorganizowanych nie tylko z myślą o kultywowaniu przeszłości, ale i tak, aby upamiętnić osiągnięcia ostatniego 30-lecia.

Nazajutrz, wczesnym rankiem wyjeżdżamy z wielkiego Trnova, jak ze znanego od dawna miasta, do którego kiedyś trzeba będzie jeszcze wrócić.

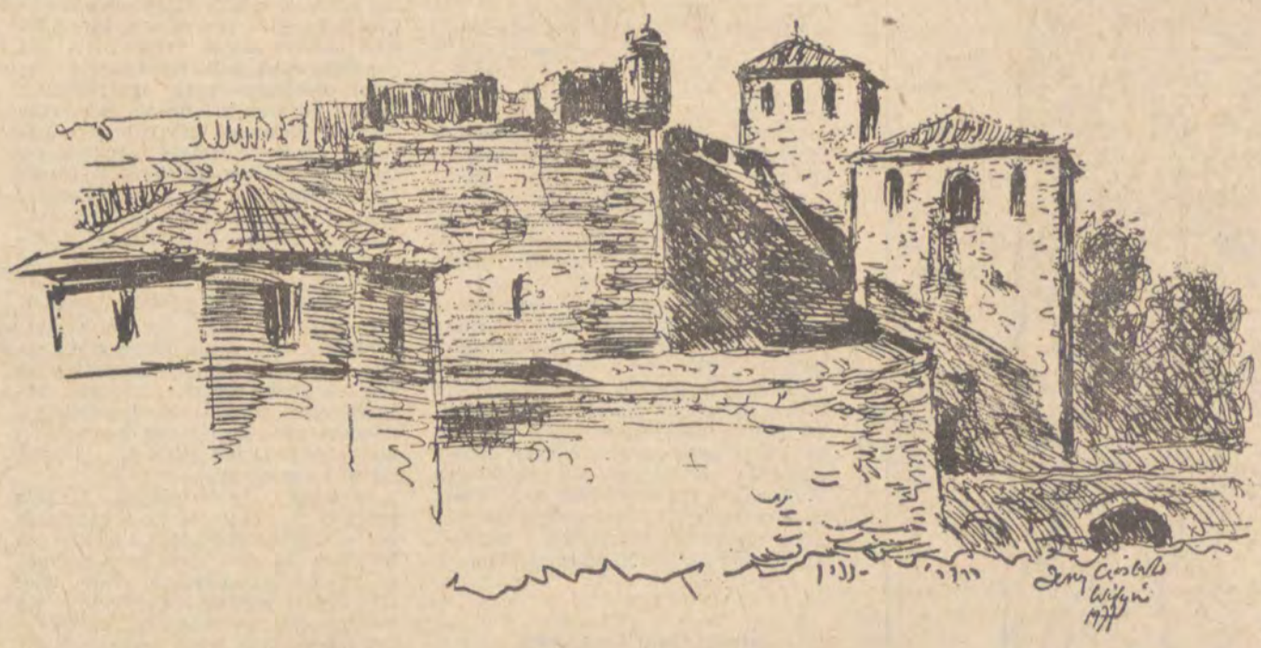

ALEKSANDER GÓRCZYŃSKI

Jednakże najważniejszą funkcją pszczoły w przyrodzie jest zapylanie drzew, roślin uprawnych i niektórych kwiatów, 80 proc. jej pracy przypada właśnie na zapylanie. Tak więc tam, gdzie nie ma pszczół, nie ma owoców, warzyw, rzepaku, koniczyny.

PSZCZOŁY UMIERAJĄ ZBIOROWO

Dalszy ciąg ze str. 1

oddechowych, ciężko gojące się rany, alergię, dobre wyniki daje kuracja miodowa w geriatrii itp. A przemysł kosmetyczny? Już słynna Poppea, żona Nerona przemywała twarz miodem rozpuszczonym w mleku oślic, a pani du Barry, metresa Ludwika XV używała go, jako kosmetyku. Dziś także jest on składnikiem wielu kremów, maści i płynów, bowiem odżywia, wybiela i wzmacnia skórę, a jednocześnie posiada właściwości antyseptyczne. Piękne ręce Japonek pozbawione zmarszczek, to skutek mycia płynami zawierającymi miód. A Chinki, Koreanki, czy Egipcjanki, po dziś dzień stosują miód jako środek kosmetyczny, a ponoć także jako lubczyk.

STAN NA DZISIAJ

chciałbym przedstawić na przykładzie województwa sieradzkiego. Zarówno bowiem rozwój tego działu gospodarki rolnej, jak i masowe trucie pszczół jest tu takie same, jak i gdzie indziej w kraju. Zrzeszenie pszczelarzy dba o rozwój tzw. pni pszczelich, o lepsze i zdrowe rodziny pszczele, o większe zbiory miodu itp. Hodowcy niezrzeszeni, teoretycznie, chcą tego samego, ale jednocześnie jakże często są oni największymi trucicielami pszczół, a ich pasieki pozbawione fachowego nadzoru, karłowacieją i są mało wydajne.

W woj. sieradzkim na 43 gminy działa 28 kół pszczelarskich (w kole najmniej 10 pszczelarzy) i jest zrzeszonych w Związku Pszczelarskim 1.231 osób, co stanowi zaledwie około 60 proc. wszystkich pszczelarzy zamieszkujących to województwo. Liczba pni (tzn. roi pszczelich) wynosi obecnie 14.200 (na jednego pszczelarza 11 pni). Rok obecny jest dużo korzystniejszy pod względem zbioru miodu niż rok ubiegły, bowiem w 1977 skupiono 1,8 tony, w tym już 8,3 tony. Jest to wynik coraz lepiej działającej służby rolnej i samych pszczelarzy. Po prostu nie było tak masowych zatruć pszczół.

Woj. sieradzkie posiada średnie warunki do hodowli pszczół. Lasy w większości są iglaste, a łąki nie posiadają dla pszczelarstwa większego znaczenia, gdyż są koszone jeszcze przed kwitnieniem, pastwisk także nie ma za wiele. Mówiąc o uprawach polowych, to jedynie rzepak będący rośliną nektarodajną oraz koniczyny (biała i czerwona), czy seradela mogłyby jakoś podnieść zbiory miodu, lecz nie ma tu wielkich plantacji tych roślin. Dawniej pszczoły zbierały nektar z kwiatów drzew przydrożnych, takich jak lipa, akacja, klony, jawory. Ale ostatnio zapanowała moda wśród drogowców na obsadzanie dróg topolami, które nie mają nektaru, a jedynie kit pszczeli. Tak więc wycina się stare nektarodajne drzewa w czasie renowacji dróg i obsadza topolami uszczuplając i tak skromne zasoby drzew, z których korzystały pszczoły. Pozostają więc jeszcze krzewy (śnieguliczka, żółta akacja, czeremcha, jagodziny), sady oraz ogródki działkowe.

Kompleksy sadów w Sieradzkiem, to rejon Zadzimia, Kwiatkowic, Wielunia, Gruszczyc, Szadku i Błaszek. Tak więc, wydawałoby się, że rozwój pszczelarstwa nie ma tu najlepszych perspektyw. Jednakże pracownicy Wojewódzkiego Związku Pszczelarskiego z Sieradza są odmiennego zdania. Można — twierdzą — siać facelę, królową roślin nektarodajnych (800 kg nektaru z 1 ha!). Jest to roślina długokwitnąca, bo około sześciu tygodni i dająca obok nektaru pyłek. Może być stosowana w gospodarstwie, jako kompost do sporządzania kiszonek, a uprawiać daje się na najsłabszych gruntach. W tej chwili mamy już 22 plantacje wdrożeniowe i tam będą jeździć pszczelarze na naukę. Facela nie jest żadną nowością, bo starzy pszczelarze-praktycy uprawiają ją od lat, to samo niektóre Spółdzielnie Kółek Rolniczych (Dobroń, Pęczniew, Lututów, Konopnica), gdyż mają własne pasieki i produkują miód na skalę przemysłową.

HODOWLA MATEK

Nie, nie będzie to wykład na temat hodowli pszczół. Ale skoro już mowa o przemyśle pszczelarskim, nie sposób pominąć tak ważnej sprawy jaką jest hodowla matek pszczelich. W Sieradzkiem jest trzech hodowców: **Stanisław Trzuskowski** ze Świerczowa k/Widawy, **Jan Dłubek** z Wielunia oraz **Stanisław Wojnarowicz** z Karsznic. Hodowla matek pszczelich, to cały skomplikowany proces.

Stanisław Wojnarowicz ma 76 lat, z czego połowę przepracował w pszczelarstwie. Z zawodu był kolejarzem w służbie drogowej, teraz poświęcił się całkowicie swojej wielkiej pasji. Matki pan Stanisław otrzymuje z importu, z Zakładu Pszczelarskiego z Puław, z Końskowoli, Brzeska. Z ras kaukaskiej, krainki oraz polskiej Asty, dokonuje krzyżówek, a pszczoły jakie się później wylęgają w ulach są odporniejsze, rozpoczynają pracę przy niższej temperaturze, są pracowitsze i o połowę wydajniejsze od miejscowej Asty. Pszczoła krajowa żyje 4—6 tygodni, z krzyżówki do 8 tygodni, koszt matki z krzyżówki wynosi 500 zł. Pan Stanisław swoje matki zawozi na trutowisko, gdzie następuje unasiennienie. Teraz ma 39 rodzin pszczelich i w sezonie poddaje unasiennieniu około 120 matek. Matki takie są znakowane kolorem danego roku (jest pięć kolorów międzynarodowych — obecny rok ma kolor czerwony), co ułatwia odnalezienie takiej matki w roju. Hoduje się matki w specjalnych ulikach weselnych (nie może być dwóch matek w jednym ulu, gdyż uniecestwiłyby się nawzajem). Zdarza się, że jakaś matka zabłądzi i wejdzie nie do swojego ula, wówczas pszczoły okłębiają ją, chroniąc w ten sposób przed własną matką i przed śmiercią. Matki reproduktorki wysyła pan Stanisław przeważnie w teren woj. sieradzkiego. Wprowadzenie matki do osłabionego ula — to cała sztuka. Musi się ona znaleźć w ulu w ciągu sześciu godzin od chwili zlikwidowania starej, nieproduktywnej. Sadza się ją w osiatkowanej klatce i zawiesza między ramkami. Jeśli pszczoły zaczną ją dokarmiać — znak, że ją zaakceptowały. Każde inne zachowanie się pszczół każe sprawdzić pszczelarzowi, czy nie ma gdzieś jeszcze jednej matki w mateczniku.

TRUCICIELE

Największym wrogiem pszczoły jest człowiek, jego nieprzemyślane działanie. Jeszcze nie tak dawno w sądzie w Łasku odbyło się 8 rozpraw karnych przeciwko ludziom, którzy spowodowali masowe wyginięcie pszczół. Główną trucizną są środki owadobójcze, w szczególności pyliste. Najczęstszymi trucicielami są rolnicy indywidualni, dokonujący opryskiwań ziemniaków środkami stonkobójczymi. Najgroźniejszym ze środków toksycznych jest gammacarpatox, bowiem działanie jego jest długie i pszczoła może zginąć nawet po 10 dniach.

A więc pytanie: czy nie rozpylać środków chroniących rośliny przed szkodnikami? Oczywiście, że tak. Tylko wymaga to znajomości rzeczy. Kiedy pojawia się stonka, na zachwaszczonych polach ziemniaczanych zaczyna kwitnąć ognicha, pospolity chwast-szkodnik, jednakże dość nektarodajny, z którego pszczoły zbierają nektar. Trzeba więc wpierw usunąć ognichę z pola, a dopiero potem dokonywać opryskiwania. Nie tak dawno nie zwracano na to uwagi nawet w SKR, i traktorzyści wyjeżdżali na pola dokonując za jednym zamachem zniszczenia stonki i milionów pszczół. Dziś w czasie akcji przeciwstonkowej traktorzysta ponosi odpowiedzialność materialną, jeśli wjedzie na pole i spryska go w czasie kwitnienia ognichy. Zresztą brygady dokonujące tych zabiegów mogą odmówić wykonania pracy, jeśli pole żółci się od kwiatów ognichy. Gospodarstw indywidualnych mamy wiele, a więc i zagrożenie poważne. Dobrze, że przynajmniej w SKR ten problem został rozwiązany. Nie ma natomiast, wbrew utartym sądom, problemu przy opryskiwaniu sadów, gdyż opryskuje się je w czasie tzw. zielonego lub różowego pąka, a nigdy w czasie kwitnienia. Ostatnio we wszystkich SKR zaleca się opryskiwanie środkami płynnymi, a nie pyłowymi. Podobnie przedstawia się sprawa z rzepakiem — spryskuje się go przed kwitnieniem. W ten prosty sposób zostaje zachowane życie pszczół i osiągnięty skutek agrotechniczny.

Obok miodu z ula otrzymuje się wosk (zastosowanie w przemyśle), kit pszczeli (tzw. propolis, mający zastosowanie głównie w lecznictwie), mleczko pszczele (środek leczniczy i kosmetyczny), jad pszczeli (stosuje się w lecznictwie).

Jednakże najważniejszą funkcją pszczoły w przyrodzie jest zapylanie drzew, roślin uprawnych i niektórych kwiatów. 80 proc. jej pracy przypada właśnie na zapylanie. Tak więc tam, gdzie nie ma pszczół, nie ma owoców, warzyw, rzepaku, koniczyny itp. Dlatego tak wiele uwagi poświęca się popularyzacji i ochrony pszczelarstwa. Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych w Sieradzu z siedzibą w Łasku, prowadzi kursy stacjonarne dla pszczelarzy pozwalające uzyskać tytuł mistrza i wykwalifikowanego pszczelarza. Rozbudowano także sieć szkolenia w kołach.

PASIEKA JÓZEFA WIŚNIEWSKIEGO

Prezes Wojewódzkiego Związku Pszczelarskiego w Sieradzu, pracownik Technikum Rolniczego w Sędziejowicach **Józef Wiśniewski** trafił do pszczelarstwa przypadkowo. W 1948 r. będąc instruktorem rolnictwa w ówczesnej Szkole Rolniczej w Sędziejowicach z braku fachowca, musiał zająć się stojącymi w ogrodzie ulami. I tak już zostało. Dziś pan Józef ma 75 rodzin pszczelich w trzech pasiekach: w Ogrodzimiu, Strudze i Sędziejowicach. W tym roku zebrał miód dwukrotnie: rzepakowy (15 czerwca), mieszany (8 lipca). Jeśli będzie spadź, to zbierze jeszcze dwa razy. Jeden rój — to 60—100 tys. pszczół, a 1 kg pszczół — to około 10 tys. sztuk pszczół. Pan Józef przewiduje, że trzeci zbiór będzie miał pod koniec lipca (spadziny z lip), a czwarty w połowie sierpnia. A potem to już przygotowywanie pasieki na zimę. A więc usuwanie nadstawek (magazyn miodowy), ułożenie gniazda na zimę, no i dokarmianie. Podkarmia się pszczoły syropem cukrowym. Jedna pszczela rodzina zużywa w ciągu zimy około 12 kg cukru. Jeśli w ulu pozostaje miód (nie spadziowy, gdyż zawiera dużo soli mineralnych i pszczoły zapadają na zapyrzenie, tzn. na przeładowanie pokarmem jelit) wówczas cukru trzeba znacznie mniej.

Nektar, jaki pszczoły przynoszą do ula, zawiera do 80 proc. wody. Toteż w ulu odbywa się ciągłe jej odparowywanie, a wygląda to w ten sposób, że pszczoły ustawiają się w szeregu i wachlowaniem skrzydełek podają sobie powietrze, które jest wypychane na zewnątrz. Wystarczy przyłożyć rękę do otworu wlotowego by się o tym przekonać. W trakcie odparowywania nektar jest przekładany z jednych komórek do innych i w tym czasie mieszany z enzymami trawiennymi. Po odparowaniu wody, miód zostaje zasklepiony w komórkach.

W pasiekach dobrze prowadzonych, a do takiej należy niewątpliwie pasieka Józefa Wiśniewskiego, co dwa lata wymienia się plastry. Podyktowane jest to tym, że w komórkach po każdym wylęgu pozostają koszulki i komórka staje się coraz ciaśniejsza, a więc i przyszłe pokolenia z roku na rok ulegają karłowaceniu.

CIEKAWOSTKI I JEDNA RECEPTA

Nie jest prawdą, że pszczoły nie żądlą właścicieli pasiek. Pszczelarz w sezonie otrzymuje do półtora tysiąca żądeł. Ale jakoś nie narzekają, twierdzą nawet, że czują się znacznie zdrowsi po takich dawkach jadu. Oczywiście cała tajemnica polega na dobrym, umiejętnym obchodzeniu się z pszczołami.

Stanisław Wojnarowicz opowiadał, że kiedyś pracował przy ulach w kąpielówkach, czemu bardzo się dziwili łódzcy studenci stojący za płotem. Zażartował, że ich poszczuje pszczołami. Wymówił w złej chwili. Studenci zostali istotnie dotkliwie użądleni. Musiał ich leczyć okładami z nagietków. A wszystko wzięło się z tego, że pszczoły silnie reagują na zapach potu i kosmetyków.

Na zakończenie chcę przytoczyć, ponoć uniwersalny przepis na wszelkie nieżyty, owrzodzenia, choroby nerek, wątroby, rany gniine, bóle zębów, a nawet gruźlicę. Podaję na odpowiedzialność Stanisława Wojnarowicza. A więc: 3 dkg kitu pszczelego zalać 100 gramami spirytusu i przez cztery dni trzymać w butelce wstrząsając ją od czasu do czasu. Następnie dolać do tego 100 gram wódki czystej i wymieszać. Przefiltrować. Używać po 30—40 kropli dwa razy dziennie na czystą wodę.

Na zdrowie!

EUGENIUSZ IWANICKI

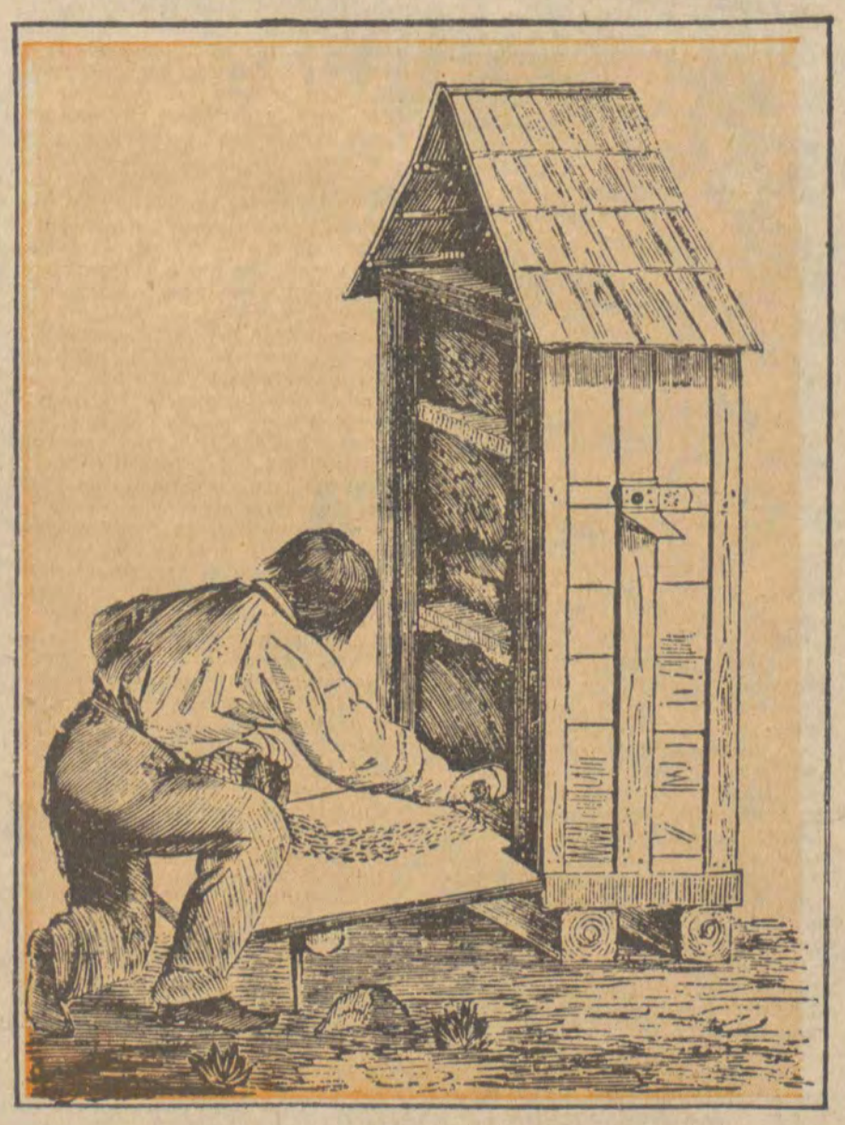

TOMASZ SOLDENHOFF

WIELKA GRA (1)

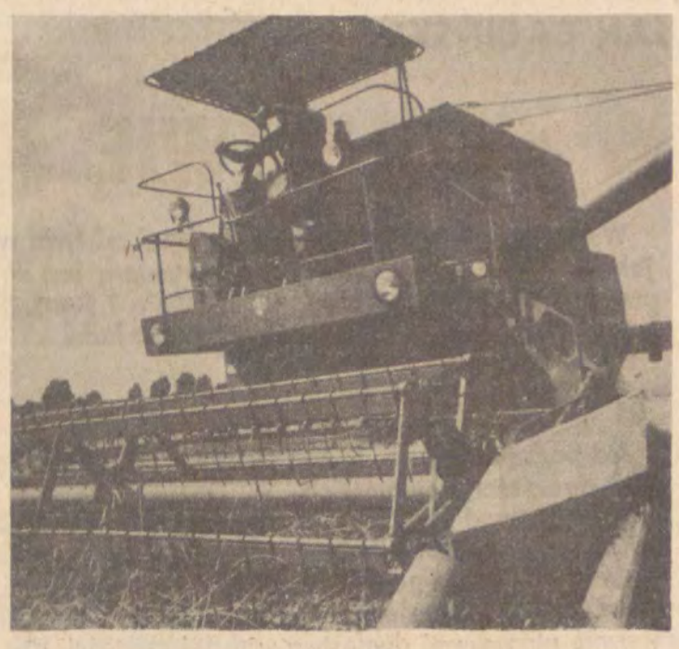

W nocy z **siódmego na ósmego sierpnia** nad Polską przeszły ulewne deszcze i burze. Jadąc nazajutrz rano na ziemię sieradzką usłyszałem przez radio, że żniwa — które w tym roku zaczęły się z dwutygodniowym opóźnieniem — w województwach środkowej Polski mijają półmetek.

Tego ranka na polach panował jednak jeszcze spokój: widziałem łany powalonego przez wiatr, zwichrowanego deszczem zboża, nie widziałem natomiast ludzi.

Ale ich nieobecność nie trwała długo. Około południa na polach zjawiły się sylwetki rolników, którzy zaczynali bądź kontynuowali podorywki, albo już siali poplony. Niedługo potem na pegeerowskie i spółdzielcze pola wyruszyły kombajny, często po raz pierwszy w tej kampanii żniwnej. Bywa bowiem tak, że gdy rolnicy podorują już ścierniska, na państwowe pola wkraczają dopiero mechaniczni żniwiarze, aby w końcowej fazie dogonić i prześcignąć indywidualnych gospodarzy, i przyjść im jeszcze z pomocą...

Żyto dojrzało. Dla tysięcy traktorzystów i kombajnistów, mechaników i magazynierów zaczęła się dopiero wielka gra: z pogodą, techniką, losem, który tego lata nie jest dla naszej wsi szczególnie łaskawy...

* * *

W nocy z 7 na 8 sierpnia lało, toteż zanim na pola **Konopnicy** wyjechały kombajny, wcześniej był tu już wicedyrektor Spółdzielczego Kółka Rolniczego **Józef Dondziak**, aby sprawdzić, czy żyto jest dość suche, czy nadaje się już do koszenia. I tak było wszędzie, nim ruszyły maszyny.

Około piętnastej byliśmy na polu w **Strobinie** w gminie Konopnica. Ciepłe, rozgrzane słońcem ziarno wypełniało już dwie przyczepy, dwie następne czekały puste... — Ziarno jest jeszcze trochę wilgotne — wyjaśniał dyrektor SKR w Konopnicy **Karol Bożek** — ale nie będziemy mieli z nim kłopotu. Z pól zwozimy je prosto do suszarni...

Nie wszyscy mogli sobie jednak na to pozwolić; wielu indywidualnych gospodarzy musiało czekać, aż zboże całkiem wyschnie. Prawdziwy ruch na polach zaczął się tego dnia po południu i trwał do późnego wieczora. Słońce co prawda kaprysiło, kryło się za chmury, ale na całej trasie z Sieradza do Łodzi, wszędzie tam, gdzie stało jeszcze zboże — niezżęte albo w mendlach — krzątały się całe rodziny, starym pomagali najmłodsi, ojcom — dzieci i wśród złotego żyta mignął nieraz granatowy, uczniowski fartuszek...

W jakim punkcie zastaliśmy żniwa rozpoczynając rajd po województwie sieradzkim, regionie, który mimo, czy raczej obok coraz bardziej rowijającego się przemysłu, znany jest nadal przede wszystkim z rolnictwa — wszak zajmuje się tu nim aż 76 procent ludności — ?

W całym województwie do skoszenia jest prawie 170 tysięcy hektarów zbóż, z czego 96 tysięcy ha zajmują uprawy żyta (czyli około 65 procent całego areału). Mimo opóźnienia, obliczanego lokalnie na około półtora tygodnia, 8 sierpnia żniwa zbliżały się do półmetka lub w niektórych gminach przekraczały półmetek. Skoszono ok. 60 procent całej powierzchni zbóż, a w tym 90 procent żyta, a 70 procent zboża zebrano już z pola. W ciągu mijającego dnia dane te przestawały być aktualne

W Wydziale Rolnym i Gospodarki Żywnościowej KW PZPR w Sieradzu ocenia się, że przygotowanie do tegorocznych żniw jest dobre. Mimo niedostatku niektórych części zamiennych (występującego w całej Polsce), zaopatrzenie w narzędzia i akcesoria żniwne, a także w nasiona było lepsze niż w ubiegłym roku. Niepokój mogły budzić tylko skutki opóźnionej wegetacji. Żyto wprawdzie wyrosło duże, dorodne, ale jeśli chodzi o sianie poplonów to przewidywano że w wielu wypadkach, a już na pewno po 25 lipca sianie poplonów ściernikowych może być marnotrawstwem.

Dobrą ocenę ma przygotowanie do tegorocznych żniw i u głównego kontrahenta rolników — w Zarządzie Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska" w Sieradzu. Wiceprezes tego największego w regionie zakładu pracy (wskazują na to liczba zatrudnionych i roczne obroty) **Janusz Pilichowski** uważa, że zaopatrzenie w części zamienne do lżejszego sprzętu rolniczego, podobnie jak aprowizacja w artykuły spożywcze, są lepsze niż w zeszłym roku. Zabraknąć może tylko tych części (6 pozycji do wiązałek, zębów do zgrabiarek), na których niedostatek uskarżają się rolnicy w całym kraju. Sklepy z częściami znajdują się w każdej gminie, a ponadto działa pogotowie handlowe, czynne od rana do godziny 20. Zaopatruje ono sklepy GS, a często dowozi brakujące części prosto do rolników. Do tej pory pogotowie interweniowało ponad 30 razy.

* * *

Trasa reporterskiej wędrówki wiedzie przez gminy południowo-wschodniej części województwa sieradzkiego.

W gminie **Burzenin**, gdzie przeważają gleby lekkie, pokos żyta (zajmuje ono prawie 80 procent całego areału) jest właściwie skończony. Tak jest co roku: Burzenin jest zwykle pierwszy, choć z szybkością żniw nie zawsze idzie w parze wysokość plonów. W tym roku naczelnik gminy **Edmund Suszwedyk** przewiduje jednak urodzaj wyższy o około 7 kwintali z hektara, niż w zeszłym roku. 8 sierpnia 95 procent żyta było już skoszone, a 60 proc. zwiezione z pól. Rozpoczęto — korzystając z tego, że zboże schło po nocnej ulewie — wapnowanie i podorywki.

— Żyto udane — mówią tutejsi rolnicy — i siedemdziesiąt ziaren w kłosie nie jest rzadkością, od początku do końca tłustych, bez „pośladów"... Spytani o zaopatrzenie w części zamienne rolnicy chwalą GS. Nie brak tu nawet bagnetów do kosiarek, których niedobór sygnalizowała sieradzka centrala „Samopomocy Chłopskiej".

W gabinecie naczelnika gminy czekamy na meldunek o pracy kombajnu. Miał wyjechać na sześćdziesięcioarowe pole Jadwigi Korbaczyńskiej z Burzenina, jednej ze starszych gospodyń... Trwa to nieco dłużej, bo gmina nie ma dobrych połączeń telefonicznych, nie mówiąc już o łączności bezprzewodowej, która na gorący czas żniw przydałaby się bardzo, podobnie jak trzem filiom tutejszego SKR jeszcze parę kombajnów... W końcu otrzymujemy informację: kombajn stoi, zboże jeszcze mokre. Zamiast na pola idziemy więc do jednego z czterech sezonowych dziecińców, które dla ok. 90 dzieci zorganizowała tego lata gmina. Największy dzieciniec mieści się w Burzeninie, w budynku przedszkola. Kiedy go odwiedzamy, część dzieci śpi, część bawi się w ogródku. Dzieci — jak informuje wychowawczyni **Zofia Pertkiewicz** — jest w sumie 36, przy czym oprócz dzieci rolników zajętych przy żniwach, są tu również i te, których rodzice pracują w tutejszym przemyśle, w cegielniach, zakładach sztuki ludowej i dziewiarstwa. W tej części rolniczego przecież regionu produkcja roślinna i zwierzęca znajduje się dopiero na trzecim miejscu, po turystyce (baza wypoczynkowa nad Wartą dla mieszkańców Łodzi i Sieradza) i właśnie przemyśle, z którego najdłuższą tradycję ma produkcja cegieł — w licznych małych zakładach prywatnych...

* * *

Pracujące „Bizony" zobaczyliśmy dopiero w Konopnicy, gminie tym razem już typowo rolniczej. Z dyrektorem Karolem Bożkiem jedziemy na pola Zespołowego Gospodarstwa Rolnego, istniejącego przy tutejszym SKR. Po drodze dyrektor informuje:

— Cały rzepak zebrany — mówi — Kończymy koszenie żyta wiązałkami, a zaczynamy kombajnami. Ale z powodu nocnej ulewy dzisiaj kombajny zamiast jak zwykle — przed 10, mogły wyjść w pole dopiero po dwunastej... Trudne to żniwa. Wskutek 12 dni opóźnień musieliśmy zmienić harmonogram prac i to, co miało być koszone snopowiązałkami przerzucać na „Bizony". Okazuje się też, że mechanizacja już nie nadąża za nawożeniem... Dlaczego? Bo żyto wyrosło o wiele większe niż mogą przepuścić stoły wiązałki. Jakieś 30 cm różnicy musi iść przy koszeniu skosem, obciąża aparat wiążący, powoduje częste awarie. Nasi mechanicy mają pełne ręce roboty.

Kluczymy w drodze po polach, „Bizonów" nie widać, ale też widoczność kiepska: poletka są małe i poprzedzielane często gęsto lasem. Co gorsza, tutejszy SKR nie ma jeszcze radiotelefonów. Wpłat już dokonano, tylko ze sprzętem nie zdążono na tegoroczne żniwa...

— Najgorsze ziemie należą do ZGR — wyjaśnia dyr. Bożek — w większości klasy VI i V. I proszę sobie wyobrazić: 180 hektarów w 92 kawałkach! Żeby trafić na pola i nie stracić orientacji wśród lasków, nasi kombajniści muszą naprawdę dobrze znać geografię...

Na siedmiohektarowym polu ZGR w Strobinie pracę trzech kombajnistów osobiście nadzoruje wicedyrektor do spraw rolnych SKR w Konopnicy Józef Dondziak. To ma swoją wymowę: tego lata do żniw stają wszyscy, liczy się każda para rąk. Dondziak przerywa na chwilę przygotowywanie przyczep do przyjęcia ziarna i mówi:

— Ze względu na niepewną pogodę kombajnowanie zaczęliśmy od odmian żyta bardziej podatnych na wyleganie. A jeszcze przed wczorajszą ulewą udało się nam zwieźć cały jęczmień ozimy. Tylko, że poplonów już tu nie zasiejemy, nie zdążyłyby urosnąć. Pasza będzie więc głównie z rzepaku...

Przed kombajnistami: **Henrykiem Sową, Zbigniewiem Gołąbkiem** i **Stefanem Grabowskim**, którzy dopiero około 14 zaczęli na tym polu pracę, kilka godzin wytężonego wysiłku: 30 ton ziarna musi jeszcze dziś znaleźć się w suszarni.

— Będziemy jeździć do zmroku — powiada kombajnista Henryk Sowa — choć zboże wilgotne, wyłożone, zwichrzone, a wilgotna słoma wciąż owija się wokół podajnika, trzeba przerywać, wyciągać ją... Przeszkadza wiatr, nie na kombajny, żyto jest tak wyłożone, że można kosić tylko w jedną stronę. Sypie kurzem prosto w oczy...

Obok pola, po którym jeden za drugim posuwają się „Bizony" wzniecając tumany białego pyłu, czeka samochód pogotowia technicznego. Warunki trudne, więc awaria, nawet drobna: niedomogi ze smarowaniem, wypadnięcie łożyska czy zerwanie paska klinowego może zdarzyć się w każdej chwili — twierdzą mechanicy SKR w Konopnicy, wśród których wyróżniają się: mistrz **Jan Struzikowski, Jerzy Fułek** i kierowca samochodu pogotowia **Maruszewski.** Pochwały dyrektorów zbierają również traktorzyści, którzy przy sprzęcie żyta snopowiązałkami pracowali bezawaryjnie: **Roman Wieloch, Wiesław Wypych, Marian Hadryś, Piotr Migdalski** i **Czesław Wiśniewski.** Choć na polą wjechały już „Bizony", traktorzystów czeka jeszcze kilka dni trudnej pracy: koszenie pszenicy i owsa dopiero się zacznie.

Wąski pas zoranego ścierniska na sąsiadującym z ZGR polu przemierza wolnym krokiem samotny rolnik... — Sieje nowocześnie, bo z wiadra, a nie z płachty... — żartują ci z Kółka Rolniczego... — Choć naukowcy dowiedli — mówi Dondziak — że nowoczesne siewniki „wysiadają" w konkurencji z siewem ręką... Rozstaw siewnika jest nierównomierny, ziarno pada co 12 i 13 cm, choć w niektórych pegeerach próbuje się go przerobić na równe odstępy, co 7 cm. Powiadają uczeni, że przy siewie rzutowym rozrzucenie i naświetlenie ziarna w glebie jest lepsze...

Stary rolnik z kolonii Strobin (niestety, nie chciał podać nam swego nazwiska, jakby zawstydzony tym wiadrem...) ma już za sobą kosbę na trzech hektarach żyta. — Chciałem kosić wiązałką — opowiada — ale żyto było poleżałe. Nie szło w tym roku inaczej jak tylko kosą. Ale na zboże w tym roku nie ma co narzekać: wyrosło! Takiego żyta dawno już nie pamiętam... A na poplony sieję łubin z saradelą. Jak jesień będzie ciepła i wilgotna — urosną...

Na polach gminy Konopnica nastrój mobilizacji. Naczelnik gminy **Stanisław Misiak** dopinguje jeszcze bardziej niż co roku. Gmina musi być pierwsza w żniwach i naczelnik ma w tym swój cel: 10 września Konopnica będzie gospodarzem wojewódzkich dożynek. Na razie władze gminy są zadowolone: już wiadomo, że w ZGR plony będą o pięć kwintali z hektara wyższe, niż wynosi średnia w gminie.

* * *

W Konopnicy tak chwalili opiekuna tamtejszych „Bizonów", że postanowiliśmy go odwiedzić na koniec naszego rajdu.

W **Zapolu** w gminie Brzeźnio, przed budynkiem **Państwowego Ośrodka Maszynowego** stoją gotowe do wyjazdu czołówki remontowe z napisem „Akcja żniwna" na szybach. W dyżurce dyspozytora zmęczeni, umorusani mechanicy — pracują od samego początku żniw, często również w nocy i jak dotąd nie pozwolili na zmianę — składają zamówienia na odbiór części zamiennych z magazynu. Dyspozytor łączy nas telefonicznie z filią POM w Zduńskiej Woli. Rozmawiam z wicedyrektorem do spraw technicznych — **Bolesławem Siekierskim:**

— Do tej pory usunęliśmy w województwie 257 awarii kombajnów, w tym 81 przez POM w Zapolu, a 35 przez jego zduńskowolską filię — opowiada dyrektor. — Dziś były 4 awarie „Bizonów", 1 wiązałki i 2 pras wysokiego zgniotu. W kombajnach pękają przede wszystkim paski klinowe, nowych pasków zaczyna nam już brakować. Oprócz kombajnów naprawiamy inne specjalistyczne i bardziej skomplikowane maszyny: wiązałki, suszarnie, prasy, ciągniki...

Naprawy wykonuje 40 mechaników, a 7 czołówek samochodowych na czterech kanałach radia utrzymują ciągły kontakt z dyspozytorem. W dyżurce słychać rozmowy prowadzone na gorącej linii: między „terenem", a POM-ami, i „Agromą", która w razie trudniejszych napraw dostarcza części zamienne spoza województwa sieradzkiego. POM w Zapolu prowadzi naprawy na własnym terenie, a ponadto koordynuje pracę wszystkich warsztatów i czołówek remontowych w województwie. Po raz pierwszy wprowadzony na tak szeroką skalę system dyspozytorski (siecią łączności bezprzewodowej pokryty jest zresztą cały obszar działania **Zjednoczenia Technicznej Obsługi Rolnictwa w Łodzi:** wszystkie cztery województwa i POM Łęczyca w woj. płockim) eliminuje zbędne przejazdy czołówek i pozwala ograniczyć liczbę dyspozytorów do trzech dyżurujących na zmianę pracowników.

Elektroniczna tablica, której zewnętrzną część stanowi mapa województwa (wniosek racjonalizatorski dwóch pracowników POM w Zapolu wykonany przez specjalistów z wrocławskiego „ELWRO") rejestruje wszystkie dane na temat miejsca i rodzaju awarii, godziny wyjazdu i powrotu czołówki, słowem, daje dyspozytorom natychmiastowy przegląd rozmieszczenia uszkodzonych maszyn i brigad naprawczych na całym froncie żniwnym województwa sieradzkiego.

Tablica rejestruje również wszystkie dotychczasowe awarie i interwencje POM-ów, zarówno w ciągu dnia, jak i podczas całej akcji żniwnej. Tu, w Zapolu, zbiegają się wszystkie nici tej wielkiej i wciąż trwającej kampanii.

Foto: W. Parys

JAN BĄBIŃSKI

W KRÓLESTWIE RYŻU

Większość mieszkańców naszego globu spożywa ryż. Żyje niejako w kręgu kultury ryżowej. Ryż uprawiany jest na ogromnych przestrzeniach Chin, Japonii, Indii, Filipin i Korei. Jest podstawowym pokarmem ponad dwóch miliardów ludzi.

1

Na początku był raj. O tym to raju głosi też jedna z legendarnych opowieści wietnamskich.

Kiedyś, przed tysiącami lat, ziarna ryżu wyrastały do wielkości miski. Starczyło rzucić jedno z nich na glebę, a pękając, obsiewało duże ryżowe poletko. Rośliny rosły już potem i dojrzewały same. Potoki ryżu wlewały się z pól do domów. Chłopi musieli jedynie utrzymywać domostwa w dużej czystości, aby żadne białe ziarno nigdy nie skalało się brudem i śmieciem. Taka była powinność ludzi, dana im z wyroku niebios. Zdarzyło się, że jeden z wietnamskich chłopów miał bardzo leniwą żonę. Kobieta domu nie uprzątnęła, by godnie i uroczyście przyjąć nadlatujące z pola ogromne ziarna. Mało tego, na ich widok wyrżnęła wściekła miotłą w podłogę. Nieopatrznie uderzyła w jedno z ziaren, które rozprysnęło się na kawałeczki. Ziarno wykrzyknęło — Przeklęci, odtąd najmniejsze nawet ziarenko ryżu nigdy już samo nie wtoczy się do waszych spichrzów. Od dziś trudzić się będziecie w pocie czoła waszego i ze zgiętym grzbietem, aby zaspokoić głód, który będzie was nękać po wieki.

I tak się stało. Kto obserwował pracę na plantacjach ryżu wie, że to trud, który z niczym porównać się nie da.

2.

Przy ryżu harują wszyscy. Mordują się na plantacjach dziewczęta i starcy. Męczą się dzieci. I to w warunkach niewyobrażalnie trudnych. Słońce praży niemiłosiernie. Strugi potu spływają z twarzy, zalewają oczy. A oni, młodzi i starzy stoją w wodzie po łydki. Nisko pochyleni pieszczą ręką niezliczoną ilość razy wciąż tę samą roślinkę. Tych roślinek miliony na plantacji. Każdą trzeba ręcznie wsadzić. I ręcznie pielęgnować. Na każdą trzeba chuchać i dmuchać. Bez przerwy trzeba się nad nią pochylać. I bez przerwy zraszać ją swym własnym potem.

Ryż jest pożywny. Sto gramów tej rośliny to równowartość 360 kalorii. Ryż zawiera białko, tłuszcze, fosfór, żelazo mnóstwo też witamin.

Niewielu już pamięta, że witaminy odkrył polski uczony Kazimierz Funk. Niegdyś łuszczono ryz na Dalekim Wschodzie przy użyciu prymitywnych młynków. Z czasem zaczęto stosować polerowanie mechaniczne. W takim wypadku owe „srebrne łuski" odpadają od ziaren w całości. I wtedy okazało się, że miejscowa ludność coraz częściej zapada na beri-beri. Jeden z japońskich lekarzy stwierdził, że beri-beri ustępuje, jeśli chorzy posilą się świeżymi owocami. W 1912 r. Kazimierz Funk wyodrębnił z ryżowych otrąb substancję, którą nazwał witaminą. Przy tej nazwie już zostało.

Już wiem jak wygląda koreańska plantacja ryżu. Wszystkie one są do siebie podobne jak dwie krople wody. Różnią się jedynie wielkością i położeniem. Poletka rozciągają się w dolinach rzek, bądź na wzniesieniach. Wchodzą niekiedy po górskich zboczach na duże wysokości. Ileż mordęgi musiało kosztować pocięcie skalistej góry w tak kunsztowne tarasy. Każde z tych poletek jest okolone metrowej wysokości groblą z tłustej dobrze ubitej gliny. Z najwyżej położonej plantacji, która ma zawsze łączność ze źródłem lub strumieniem, woda sączy się przez zastawki w obwałowaniach na wciąż niższe plantacje, tak, że wszystkie poletka zalane są równomiernie. Plantacje ryżu to jakby miniaturowe stawy, z których wystają gęsto powysadzane rośliny. W czerwcu ryż wyglądał jak bujna i soczysta trawa wyskakująca wprost z wody do wysokości kolan.

Widok wszędzie jest ten sam. Nieprzeliczone rzesze pochylone do ziemi, brodzące w wodzie do późnego wieczora. Długie kolumny sunących wolno po glinianych groblach w spodniach podwiniętych do bioder, w słomkowych kapeluszach na głowie.

3.

Nigdy nigdzie nie dostrzegłem w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej nikogo, kto by nic nie robił. Wszyscy są czymś zajęci. Wszyscy są zapracowani. Wszyscy są przy robocie z pierwszym już świtem. Wszyscy są na nogach od chwili, gdy ziemię zaczynają ogarniać ciemności. Przy pracy toczy się tu życie od dzieciństwa do późnej starości. Kto się już porusza — pracuje. Kto się jeszcze porusza — też pracuje. Można by rzec, że nad tym krajem unosi się wszechobecne hasło — Przez pracę do szczęścia.

Koreanki, których na plantacjach najwięcej, są drobne, miłe, potulne i uległe. Znają swoje miejsce. Są jakby wyciszone. Nigdy nie podnoszą głosu. Nigdy się z nikim nie kłócą. Gdy są w rozpaczy, ukrywają twarz w dłoniach. Ale i wtedy milczą, lub cicho wzdychają. Pracują wszędzie. Na polach, przy drogach i na budowach. Noszą na głowie dzbany z wodą, wielkie kosze i potężne toboły. Dzieci noszą przywiązane do pleców. Tak wędrują, pod palącymi promieniami słońca. Obserwowałem pracę kobiet na bocznej drodze przy zatoce morskiej pod Nampo. Wykopywano z ziemi ciężkie kamienie. Tłuczono je na kawałki. Ładowano do wielkich wyplatanych nosideł. Z nosidłami na plecach kobiety brodziły wąską ścieżką i zrzucały ładunek na odległe wysypisko. Tak bez przerwy. Długie godziny. Wciąż w tym samym rytmie. Bez pośpiechu. Ale też bez wytchnienia. Ta mrówcza praca wszystkich przez cały tydzień przynosi rzucające sie w oczy efekty.

4.

Pojechałem z Penianu do historycznego Kesongu przez prowincję Hwanghae. Jest to jeden wielki ogród, poprzecinany jarami, którymi płynęły strumienie. Morze plantacji, które zdawało się nie mieć końca. I wszędzie deszczownie oraz cudownie działający system irygacyjny. Ujęcia wodne, pompy, kanały i przepusty. Wszędzie też traktory. W ogóle jest w tej prowincji to wszystko, czym chlubi się rolnictwo na najwyższym już poziomie. W pewnej chwili zdało mi się, że znalazłem się w rejonie niezliczonych ogrodów pod Amsterdamem.

Na obszarach bardziej górskich, mniej urodzajnych, dominuje nadal wół. Woły chodzą w jarzmie po polach wśród skalistych zwałów. Kamienie leżą wszędzie. Także na polach uprawnych. Koreanki wciąż je zbierają, ale wydaje się, że nigdy tych skalnych odłamków nie wyzbierają do końca. Pług wyrywa z ziemi za każdym przejściem wciąż nowe kamienie. Wydawać się może, że głazy rodzą się tu same i nigdy tej plagi się nie zwalczy. Wół jest zwierzęciem roboczym, choć wołowina to przysmak z rzadka jedynie na stole spotykany.

Czym się Koreańczycy odżywiają? Jedzą wszystko, co się da pogryźć i przełknąć. Wyjątkowym specjałem jest psie mięso. Cóż, Francuz zjada żabę, a Chińczyk to i kota upiecze, wronę podsmaży na ogniu, mysz ugotuje. Koreańczycy nie znoszą mleka. Gardzą masłem. To im przez usta nie przejdzie. Ten codzienny posiłek to ryż. Przede wszystkim ryż. Jeszcze małże, krewetki, jakieś grzyby no i oczywiście dużo warzyw i sporo też ryb. Chleba się nie je. Jest nieznany. Dość, że Koreańczycy dziobią pałeczkami w maleńkich miseczkach wypełnionych warzywami, rybą, głównie ryżem. Wszystko to zaprawione jest sosem tak ostrym, że pali jak ogień. W zależności od tego jak się pracuje i co się robi, otrzymuje się dzienne racje ryżu w granicach od 200—750 gramów. Powiada się w Penianie, że socjalizm to ryż.

Koreańczycy są chudzi, niscy, mają płaskie brzuchy. Z wyglądu są niepozorni. Zaskakuje ich żywotność. Zdumiewa, że tyle energii kryje się w tak drobnych ciałach. Są gibcy, zwinni i wysportowani. W górach poruszają się z nieprawdopodobną szybkością. Skaczą po skałach jak kozice. Gdzież nam do nich. Człowiek by obie nogi połamał. A pamiętać by należało, że trzy czwarte. tego kraju to góry. I to jakie góry. Połamane, pogięte, poszczerbione skały o najdziwaczniejszych kształtach.

5.

Pod koniec czerwca twarze wieśniaków były poważne, a nawet posępne. Trwała susza. Monsun się opóźniał. Rzeki powysychały. Brakowało wody. I wtedy właśnie mój podziw dla Koreańczyków wzrósł jeszcze bardziej. Widziałem długie sznury ludzi z wiadrami na barkach. Potok wody na plantacje ryżu toczył się wolno, ale nieprzerwanie. I to na ludzkich poniekąd ramionach. Pospiesznie też drążono prowizoryczne studnie. Przy każdym rozlewisku, które jeszcze nie wyschło, ustawiano traktory z dołączonymi pompami. Trwały ciche, żmudne i nieprzerwane zmagania z suszą.

W ostatnich dniach czerwca nadszedł upragniony monsun. Z nieba runęła ściana wody. Upał i wilgoć. Nie można wtedy złapać oddechu. Gorąc i duchota. Powietrze tak wilgotne, że skórzane buty pleśnieją po paru dniach.

Ryż wysiewa się zwykle w maju. I od razu zalewa wodą. Trzeba jednak to robić umiejętnie. Tak trzeba postępować, aby ziarno jednak z powietrzem się zetknęło. Wodę raz się spuszcza, drugi raz się jej dodaje, aby zawsze było tego w miarę, ani za dużo, ani za mało. Wreszcie ryż kiełkuje. Po paru tygodniach rozsadę przesadza się. Wielkie mrowia ludzkie, pracując po kolana w błocie, wysadzają roślinki w pęczkach. Trzeba się spieszyć. Słońce praży jak z rozpalonego pieca. Może zdusić i wypalić roślinki, nim je okryje ochronna warstwa wody.

6.

Powiada się, że charakter Japończyków ukształtował ryż. Stąd właśnie zdumiewająca pracowitość japońska i nieprześcigniona dokładność w robocie. Na ryżowej plantacji nic na żywioł puścić się nie da. Nic tu samo nie wyrośnie. Sam system irygacyjny narzuca kolektywność w robocie. Sąsiad zdany jest na sąsiada. Wszyscy skazani są na najściślejszą ze sobą współpracę. Współodpowiedzialność, współdziałanie i społeczna presja na jednostkę. Oto i cała tajemnica japońskich sukcesów gospodarczych.

Ryż ukształtował też charakter Koreańczyków.

Pracowitość tego dzielnego, zdrowego fizycznie i psychicznie narodu, wymyka się wszelkim opisom. Koreańczyk czci władzę, wykonuje bez słowa polecenia. Praca jest dla niego świętością. Pracuje się wedle potrzeby. Jak robota ma być wykonana powiedzmy za tydzień, to pracuje się przez wszystkie dni tygodnia z niewielkimi tylko przerwami na sen i posiłek. Gdy trzeba, pracuje się w nocy. To nie ma znaczenia. Starczy wyznaczyć zadania, postawić ludzi, a oni to zrobią. Na czas zrobią. I z wielką starannością.

Wszelkie porównania tego, co jest tam, z tym co jest w Europie, sensu większego nie mają. Inne tam tradycje. Inny punkt widzenia na pracę. Inny też krąg kulturalny. To odmienny świat. Powiem więcej, tak wielu, tak wesoło śpiewających ludzi, nie widziałem jeszcze nigdzie. I wszędzie wtórzą chórem dzieciaki. Te dzieci są grzeczne i uprzejme. Pierwsze się kłaniają. Pierwsze unoszą w pozdrowieniu rękę. Takich dzieci też nigdzie nie widziałem.

Czy Koreańczycy są szczęśliwi? Nie wiem. To ich sprawa i nikogo więcej. Zresztą pojęcie szczęścia ogromnie jest względne. Pustelnik jest szczęśliwy, bo nic nie ma. Milioner jest często tak nieszczęśliwy, że popełnia samobójstwo. Wiem, że Koreańczycy nie mają wielu rzeczy. Czego jak czego, ryżu jednak im nie brakuje. Ci ludzie mają też ideę. Jest nią zjednoczenie kraju. Ta idea zdaje się ten naród uskrzydlać.

TOMASZ DOMAŃSKI

WIEŻA EIFFLA — BOSKA CZY ŚMIERTELNA?

Każdy szczyt urlopowy ściąga turystów w różne zakątki Francji. Zwiedzanie Paryża rozpoczyna się pielgrzymką na wieżę Eiffla...!

Czy ta leciwa już staruszka, jest jeszcze ciągle w stanie bezpiecznie przyjąć owe milionowe hordy odwiedzających? Ale, czy można sobie wyobrazić Paryż bez wieży Eiffla?!!!

Nie, to niemożliwe. Jest ona przecież najbardziej prestiżowym zabytkiem świata. Góruje nad Polami Marsowymi, niczym latarnia morska naprowadzająca nawigujących błędnie turystów. Przyciąga jak magnes. Stała się symbolem i mitem stolicy. Stanowiła i ciągle stanowi inspirację dla malarzy, poetów i filmowców.

Powstała w 1889 roku, dla uczczenia 100 rocznicy Rewolucji Francuskiej i światowej wystawy techniki, jako dzieło inżyniera Gustawa Eiffela. 300 metrów wysoka, była pierwszą konstrukcją tego typu na świecie. O złożoności całego przedsięwzięcia niech świadczy choćby tak „banalny" statystycznie fakt, że do jej konstrukcji zużyto około 18.000 metalowych kawałków krokwi, belek i kratownic. Aby poskładać to wszystko wbito w sumie ponad 2,5 mln nitów, łącząc tym samym prawie 7 mln różnych otworów. Cała impreza wykonana została przy tym z naukową precyzją i organizacyjnym kunsztem, których to przymiotów mogliby pozazdrościć ówczesnym konstruktorom nasi dzisiejsi budowniczowie.

Dźwigniki hydrauliczne specjalnie zmontowane, uniemożliwiają wieży Eiffla podzielenie „skrzywionego losu" sławnej koleżanki z Pizy. Tworzy ona przy tym w miarę lekką (7.000 ton) i dosyć stabilną konstrukcję, w czasie burzy lub wichury może się odchylać jedynie o niecałe 12 cm. licząc od osi szczytu.

Oprócz triumfu techniki, wieża była jednocześnie ogromnym sukcesem kasowym. Jej koszt wynoszący około 8 mln franków z 1889 roku, został spłacony w ciągu pierwszego sezonu eksploatacji. Przyjęła ona wówczas w swe metalowe podwoje prawie 2 mln zwiedzających.

Obok entuzjastycznie nastawionych turystów, istnieli także zagorzali przeciwnicy owego „czarnego i gigantycznego fabrycznego komina". Malarz francuski Delunay poświęcił jej ponad 100 swych sławnych płócien. Pod jego pędzlem przeżywała jednak wieża prawdziwe tortury. Najczęściej bowiem ów artysta przedstawiał ją zdeformowaną lub poćwiartowaną.

W 1909 roku, kiedy dobiegła końca 20-letnia dzierżawa wieży przez Gustawa Eiffela, nie brakło głosów nawołujących do zdemontowania owej „masy wulgarnego żelastwa". Mimo głosów malkontentów i oponentów przetrwała! Stało się to dzięki kapitanowi Ferrie, który zainstalował na jej czubku radiową antenę. Radio weszło zresztą na trwałe do jej historii. To ono organizowało wyścigi i rowerowe zjazdy na jej karkołomnych schodach.

W 1945 roku emocjonowano się przelotami samolotów przez okna jej metalowego szkieletu. Nie brakło i takich, którzy pokonywali jej kręte schody na wysokich szczudłach. Kolejną atrakcją serii wieżowych uciech było wtaszczenie żywego słonia na „1er étage" (pierwsze piętro). Zdarzali się również i alpiniści, którzy prześcigali się w zdobywaniu jej północnych i południowych „stoków".

Oprócz sielankowych i idyllicznych imprez zdarzały się także i „wyskoki" mniej udane. W 1912 roku wybrał ją za punkt startowy bohaterski Ikar. Po oderwaniu się od poziomu pierwszego piętra, nieszczęsny człowiek — ptak rozbił się o ziemię.

Jeżeli chodzi o czarne strony wieżowej historii, to było ich znacznie więcej. W sumie zanotowano około 380 skaczących samobójców. Dzisiaj, mimo, że metalowe ogrodzenie teoretycznie uniemożliwia wyskakiwanie, wciąż zdarzają się jeszcze desperackie próby odebrania sobie życia w ten „latający" sposób. Byłoby jednak błędem sądzić, że dzień dzisiejszy wieży upływa pod znakiem samobójstw. Wieża Eiffla to mały światek, tętniący własnym intensywnym rytmem. Obsługuje ją 70 kontrolerów w czarnych (co za zbieg okoliczności) uniformach. Najczęściej do tej służby trafiają emerytowani policjanci i dawni pracownicy paryskiego metra.

Prawie czterdziestu mechaników stale czuwa nad stanem zdrowia staruszki. Każdego ranka, o godz. 7.00, obsługa wieży rozpoczyna pracę. Pierwszą czynnością jest oliwienie olbrzymiej maszynerii poruszającej wieżowe windy. Oprócz codziennej „toalety" wieża rezerwuje sobie prawo do gruntownego „makijażu" raz na 7 lat. Jest przy tym zresztą dosyć wymagająca, gdyż pochłania wtedy ponad 50 ton brunatno-szarej olejnej farby w trzech różnych odcieniach: najjaśniejszy u podstawy, a najciemniejszy u wierzchołka. Wszystko to sprawia, że wygląda na dobrze zakonserwowaną i zadbaną starszą panią.

Punktualnie o 8.00, wieża otwiera swe „podwoje" i pierwsza winda podrywa się do góry. W niektóre dni letniego szczytu liczba zwiedzających osiąga zawrotną sumę 25.000 osób. Zdarza się, że na drugim piętrze trzeba nieraz czekać ponad godzinę, aby móc wjechać na samą górę. Obliczono, że połowa spośród 3 mln turystów, odwiedzających corocznie wieżę Eiffla dociera aż do jej wierzchołka.

Oprócz wspomnianych już samobójców, także i inne fatum ciąży nad wieżą. W 1970 roku przeprowadzono dogłębną analizę stanu zdrowia „metalowej staruszki". Pod pozornie zadbaną fasadą obnażono sporo mankamentów. Oprócz konieczności przeprowadzenia natychmiastowych robót przy niektórych krokwiach, platformach, metalowych łukach czy awaryjnych schodach trzeciego poziomu, sformułowano postulat o niezbędności wymiany windy hydraulicznej łączącej drugie piętro z trzecim. Transportuje ona rocznie 1,5 mln pasażerów, pokonując drogę ze 149 m wysokości na 309 m. Winda ta funkcjonuje od 1889 r. i jest sterowana w sposób absolutnie manualny, przez mechanika okupującego miejsce w małej szklanej kabinie drugiego piętra. Rozwiązanie to jest, oczywiście, uznawane przez specjalistów za przestarzałe. Po prawie 90 latach funkcjonowania winda wykazuje oznaki poważnego zmęczenia. Główny inżynier kontroli wieży obawia się, iż w niedalekiej przyszłości owo zmęczenie objawić się może pęknięciem cylindra mechanizmu windy. W przypadku błyskawiczego i niekontrolowanego zjazdu windy awaria groziłaby poważnym wypadkiem. Ryzyko to jest tym większe, że istnieje tylko jedna winda pomiędzy piętrami. Oczywiście w razie wypadku pozostaje możliwość ewakuacji pasażerów ślimaczymi schodami trzeciego piętra. Te nie kończące się kręte schody są jednak szalenie niebezpieczne. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że normalnie są one zamknięte dla ruchu zwiedzających.

Pod koniec sezonu turystycznego w 1971 roku, dyrektor przedsiębiorstwa eksploatacji wieży postanowił unieruchomić ową kontestowaną windę. Decyzja ta była jednak wyłącznie czasowa. Z wiosną roku następnego winda rozpoczęła znów swą normalną wspinaczkę. W 1973 roku, a więc znacznie później niż to uprzednio założono, zamontowano jedynie hamulec bezpieczeństwa. Hamulec tarczowy włącza się automatycznie w razie zbyt dużego przyspieszenia windy przy zjeździe, zwalnia jej szybkość, a następnie blokuje kabinę. Tego typu zabezpieczenie jest oczywiście uznane jedynie za prowizoryczne. Winda hydrauliczna jest za stara i zbyt wolna. Zgodnie z zaleceniami ekspertów powinna zostać zastąpiona nowoczesną, szybką windą elektryczną.

Wielki francuski koncern metalowy Creusot—Loire, podjął się opracowania projektu nowej instalacji. Byłby to unikalny prototyp zdolny przewieźć 1000 pasażerów na godzinę (przy 700 aktualnie). Nowa winda funkcjonowałaby cały rok a koszt jej konstrukcji i montażu wyniósłby w przybliżeniu 35 mln franków.

Warto podkreślić, że w sumie koszt renowacji wieży plus koszt nowej windy zamknąłby się sumą 90 mln. franków. Każdy się domyśli, iż jest to więc gra o duże pieniądze i że jak zawsze brak jest chętnego, który podjąłby się realizacji tak drogiej inwestycji. Przedsiębiorstwo dzierżawiące wieżę Eiffla (Societe de la Tour Eiffel") nie jest zainteresowane ponoszeniem tak olbrzymich kosztów, gdyż kontrakt dzierżawny łączący je z paryską radą miejską wygasa z dniem 31.12. 1979 r. Dzierżawcy domagają się przyznania im pożyczki płatnej po 20 latach i nowej 30 letniej koncesji pozwalającej na eksploatację wieży.

Eksploatacja ta jest ciągle imprezą dosyć lukratywną, gdyż rokrocznie przedsiębiorstwo zwiększa swoje wpływy. W 1976 roku, zanotowało ono 26,5 mln wpływów, co oznacza prawie 1,5 mln zysku dla spółki eksploatującej. Dzierżawcy uskarżają się jednak na „wyzysk" stosowany przez państwo i radę miejską. W sumie w 1976 roku, musieli wpłacić 12 mln franków do kas rady miejskiej Paryża, a 15 mln dla skarbu państwa. Dążenia dzierżawców idą oczywiście w kierunku redukcji odprowadzanych obowiązkowo sum.

Nie wiemy jeszcze jaki los spotka leciwą staruszkę. Istnieją plany, aby zarząd wieżą był sprawowany przez spółkę mieszaną („La Societe d'economic mixte"), w której łonie rada miejska zastrzegłaby sobie prawo kontroli. Nam pozostaje nadzieja, że wieża będzie nadal służyć turystom.

U PRZYJACIÓŁ

Wiele uwagi poświęca prasa radziecka „Dniom Filmu Polskiego" w ZSRR. Znany krytyk filmowy Irina Rubanowa nazywa najnowszą prezentację dorobku polskiej kinematografii „szeroką panoramą historyczną losów narodu polskiego, przebytą przez niego drogę do ustroju sprawiedliwości społecznej, oraz osiągnięć i przemian w życiu kraju".

Podczas przeglądu, radzieckiej publiczności zaprezentowano „Śmierć prezydenta" w reżyserii J. Kawalerowicza, „Akcję pod Arsenałem", J. Łomnickiego, „Wszyscy i nikt" K. Nałęckiego, „Azyl" R. Załuskiego (wg powieści „Puszcza" J. Putramenta) „Sam na sam" A. Kostenki. W zestawie filmów nie zabrakło pozycji dla młodych widzów, a wśród nich filmu „Pogrzeb świerszcza" powstały w łódzkim zespole „Profil".

„Rozległość tematyki i wielokierunkowość poszukiwań artystycznych — stwierdza I. Rubanowa — te cechy socjalistycznej sztuki filmowej w Polsce znalazły pełne potwierdzenie w programie „Dni Filmu Polskiego".

* * *

Kinematografia radziecka podjęła przygotowanie do dwóch interesujących filmów biograficznych, których bohaterami będą: Iwan Czerniachowski, generał armii, dowódca jednego z frontów, zmarły od śmiertelnej rany w końcowym okresie wojny. Drugi film przedstawi postać wybitnego radzieckiego konstruktora lotniczego Andrieja Tupolewa.

* * *

W Budapeszcie zakończyło się XII Międzynarodowe Seminarium Bartokowksie, z udziałem 51 skrzypków i pianistów z 20 krajów. Ministerstwo Kultury WRL, które jest organizatorem imprezy, popularyzuje w ten sposób twórczość Bartoka w świecie. Niezależnie od seminarium przyznaje także stypendia dla młodych muzyków z których dotychczas skorzystało ponad 500 artystów z 31 krajów.

* * *

Okres wakacyjny nie osłabił tętna życia teatralnego w NRD. Niemiecka Opera Państwowa odnosi sukcesy na tournee w Szwecji i RFN. Opera Lipska powróciła z Kijowa, a zespół teatru Berliner Ensamble występuje w Wiedniu. Trwa ożywiona działalność teatrów letnich, z których najstarszy, słynny teatr w Górach Harzu, obchodzi tego lata swoje 75-lecie.

Miniony sezon teatralny upłynął pod znakiem prezentacji klasycznych sztuk niemieckich i współczesnych autorów NRD, od Heinricha Kleista do Bertolta Brechta. Sztuk autorów współczesnych prezentowano ponad 30, a najczęściej granym autorem był Rudi Strahl. (sześć jego utworów osiągnęło blisko sześćset spektakli). Z repertuaru obecnego szczególnie bogato prezentowane były szuki rosyjskie i radzieckie: 127 utworów, ponad 250 premier, 1,2 mln widzów. Największym powodzeniem cieszyły się utwory Gelmana, Tendriakowa, Szwarca i Wampiłowa.

* * *

Sezon teatralny na Węgrzech w liczbach przedstawia się następująco. 54 teatry zawodowe i 20 czołowych zespołów amatorskich dały 17 tys. przedstawień, które obejrzało ok. 10 mln widzów. W sezonie 77/78 podjęto także realizację, przewidzianego na szereg lat, programu rekonstrukcji i modernizacji teatrów węgierskich, przeznaczając na ten cel wiele milionów forintów. Trwa m. in. przebudowa budapeszteńskiego Teatru Operowego i Teatru Dramatycznego W. Györ, a także budowa nowych gmachów — Teatru Narodowego w Budapeszcie i Szegedzie.

W repertuarze węgierskich zespołów dominuje współczesna twórczość rodzima, wiele uwagi poświęca się także rodzimej klasyce i współczesnej dramaturgii obcej. W ostatnim okresie zreformowano szkolnictwo teatralne, które rozpoczęło przygotowywanie kadr reżyserskich dla radia i telewizji.

* * *

W Sofii z okazji Międzynarodowego Kongresu Esperantystów z nową premierą sztuki Antona Straszymirowa pt. „Świekra" wystąpił Bułgarski Teatr Esperanto. Teatr ten jest jedną z nielicznych tego typu placówek na świecie, działa od 1957 roku. Do zespołu należą aktorzy zawodowi, wśród nich wielu znanych twórców. Bułgarski Teatr Esperanto zdobył sobie uznanie w wielu krajach; występował także w Polsce.

* * *

200-tomowy cykl „Biblioteka Literatury Światowej", którego edycja rosyjska niedawno dobiegła końca, wydany zostanie również w językach innych narodów ZSRR. W przygotowaniu znajduje się wersja gruzińska. Cykl obejmuje dzieła poezji i prozy ponad 3 tysięcy autorów z 80 krajów — od starożytności do naszych czasów.

PROTEKTORZY I ICH PROTEGOWANI (2)

WŁADZA I POLITYKA

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dokończenie artykułu znanego amerykańskiego dziennikarza Rogera Morrisa. Artykuł, który drukujemy w skrócie, ukazał się na łamach magazynu „Harpers".

„Jeszcze trzech członków gabinetu oficjalnie pozuje na nowicjuszy u steru władzy, ale podobieństwo ich karier i ich protektorów przywodzi na myśl „zastanawiający zbieg okoliczności" — jak by się wyraził Sherlock Holmes.

Min. handlu Juanita Kreps. Była członkiem rady dyrektorów ośmiu kompanii, w tej liczbie w takich jak: R. G. Reynolds Tobacco, w Nowojorskiej Giełdzie Pieniężnej, w Eastman Kodak Company i Western Electric. Do 40 tys. dol. rocznie, które otrzymywała jako pomocnik rektora uniwersytetu Duckea i wykładowcy w uniwersytecie w Płn. Karolinie, należy dodać jej dyrektorskie uposażenie w wysokości 61 tys. dolarów rocznie.

Min. pracy Ray Marshall. Uczony z niedużym dochodem, jak na członka gabinetu rządowego, miał „zaledwie" 75 tys. dolarów w 1976 roku, wliczając do tego 40 tys. otrzymywanych w uniwersytecie w Teksasie i 30 tys. dolarów z tytułu funkcji konsultanta. Ma dom i rancho wartości co najmniej 150 tys. dolarów. Jego kariera nigdy nie wystąpiła z gładkiego koryta polityki rządu w dziedzinie nauki. Służył rządom Johnsona i Nixona pełniąc funkcje członka dziewięciu komisji konsultatywnych.

Prokurator generalny Griffin Bell. Cóż można powiedzieć o nieznanym chłopcu z Americus (stan Georgia), który mając lat 58 posiada: 155 tys. dolarów rocznego dochodu; wielkie wkłady w National Bank of Georgia; otrzymał pochwałę zarówno zwolenników segregacji, jak i Murzynów z „klas średnich" po wątpliwej politycznie ugodzie z rasistami; niczym nie wyróżnił się pełniąc funkcję członka Sądu Apelacyjnego i obecnie zajmuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Sprawiedliwości? Można o nim powiedzieć, że zna prawidła gry i był gotów do targów o najwyższą stawkę, kiedy jego ziomek z Georgii (także gracz) sprowadził go do Waszyngtonu.

Trzej pozostali członkowie gabinetu, wszyscy politycy, przestrzegają dawnej tradycji klasy rządzącej i udowadniają, że ich działalność w charakterze ministrów jest związana z określonymi kołami, których interesy nauczyli się uważać za swoje własne.

Min. transportu Brock Adams. Jako członek uprzywilejowanej studenckiej organizacji „F Beta Cappa", otrzymał stypendium i skończył wydział prawa na uniwersytecie w Harwardzie, po czym został wspólnikiem znanej firmy w Seattle. Gdy Kennedy mianował go prokuratorem tego stanu, wybierano go w Seattle sześć razy z rzędu do Kongresu. Obecnie, w 50 roku życia dochody Adamsa przekraczają 150 tys. dolarów rocznie. Jego biografia ma jeden brak: nie wspomina jak trzeba postępować, żeby awansować tak gładko. W Kongresie był rzecznikiem Boeing Corporation.

Min. spraw wewnętrznych Cecil Andrus. Reprezentuje „biedotę kraju", bo kiedy był gubernatorem stanu Idaho miał zaledwie 42 tys. dolarów rocznego dochodu i to nawet łącznie z akcjami kompanii górniczych. Mając dziś 46 lat „kosztuje" tylko 108 tys. dolarów, czyli poziom nędzy, jak na członka gabinetu rządowego. W przeszłości agent ubezpieczeniowy, studiował tylko rok w koledżu, co przydaje obrazowi gabinetu plebejskiego kolorytu. Konserwatywna polityka ekonomiczna, jaką prowadził na stanowisku gubernatora była na rękę wielkiemu biznesowi.

Min. rolnictwa Bob Bergland. Odziedziczył farmę wartości pół miliona dolarów, działał w związku farmerów. Wybrany do Kongresu z ramienia demokratów w 1970 roku, milczał na temat wojny w Wietnamie, chociaż liczba poległych Amerykanów z jego okręgu wyborczego była najwyższa w stanie. W Kongresie był pośrednikiem między obszarnikami z Południa i handlowymi koncernami z Północy. Ostatnie 20 lat wysługiwał się monopolom popieranym przez rząd i wzbogacił się przy ich pomocy.

Ten ministerialny rejestr można by uzupełnić mnóstwem wyższych osobistości oficjalnych, mianowanych przez Cartera. Należy do ich liczby np. doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński, który zawdzięcza swój awans życiowy protekcji korporacji.

Jak widać z tych krótkich rysów biograficznych, istnieje kilka cech charakterystycznych dla wszystkich naszych władców, które określają ich przynależność do znanej nam klasy. Chociaż maskuje się to bardzo starannie, głównym obiektem przywiązania tych ludzi i źródłem ich władzy są pieniądze. Obecny prezydent i członkowie gabinetu są nie do pomyślenia na swoich wysokich stanowiskach, lub choćby w ich pobliżu, bez pieniędzy i wyróżnień zdobytych dzięki gromadzeniu środków finansowych dla siebie lub dla innych. Ich zaszczyty nie są uwarunkowane żadnymi innymi osiągnięciami i żadne inne sukcesy nie wyróżniają ich z tłumu współobywateli, którzy, ogólnie rzecz biorąc, mają nie mniejsze osiągnięcia.

Ci którzy trafiają do składu rządu mogą zazwyczaj liczyć na to, że ich cena rynkowa dwukrotnie, a nawet trzykrotnie, wzrośnie, kiedy powrócą do sektora prywatnego, przynosząc z sobą wpływy. Za przykład mogą służyć godne pozazdroszczenia synekury byłych wysokich urzędników w rządach Nixona—Forda, a także dochodowe „antrakty' Vance'a, Blumenthala, czy Patricij Harris w okresie między rządami Johnsona a Cartera. Wszakże ważniejsze jest to, że ludzie klasy rządzącej nie tylko posiadają pieniądze, lecz również kochają je, budzą one w nich zachwyt, są dla nich ucieleśnieniem najwyższych wartości społeczno-politycznych. Doskonale zdają sobie sprawę z bezsprzecznego priorytetu pieniądza w amerykańskim życiu i w rządzie. Potęga pieniądza, jako czynnika społecznego, nadal odgrywa decydującą rolę.

Należy się od razu zastrzec: pod tym względem wyżsi urzędnicy Cartera mało się różnią od swoich poprzedników — republikanów. Wystarczy sobie przypomnieć reprezentatywny garnitur rządowy Nixona z 1969 roku. Ale jak na ironię, „ludzi" Cartera najbardziej różni od republikanów to, iż członkowie obecnego gabinetu, każdy z osobna i wszyscy razem, są o wiele bogatsi. Bez widocznych różnic, wszyscy oni stanowią grupę rwących się do przodu ludzi, których życie określa, a karierę zapewnia stanowisko, które w danej chwili zajmują — w rządzie, w firmie adwokackiej, w uniwersytecie, czy w korporacji. Doskonale nauczyli się sztuki o czyje względy zabiegać, kiedy i jak. Podobnie, jak wszyscy, którzy zdobyli wysoką pozycję, starannie przestrzegają dobrych manier choćby tylko dlatego, że doskonała opinia jest współczesnym zamiennikiem nie tylko „szlachetnego" pochodzenia, lecz także talentu. Intelekt odgrywa tu pewną rolę, ale zazwyczaj jest to po prostu ogłoszenie reklamowe, w którym nikt nie czyta słów wydrukowanych drobną czcionką. I tak, w styczniu 1977 roku o wiele większe znaczenie miał fakt, że Zbigniew Brzeziński — protegowany Davida Rockefellera — gościł w domu Averella Harrimana (finansista, „król" kolei — red.) w Georgetown, niż to, że jest autorem nie kończącej się serii mętniackich przeciętnych książek. Wątpliwe, żeby najbardziej wybitni doradcy J. Cartera — podobnie jak i ich poprzednicy z ostatnich 30 lat — mogli się uważać za najlepszych i najbardziej utalentowanych przedstawicieli wielomilionowej ludności USA. Są to po prostu przypadkowi lub wzbudzający najmniej zastrzeżeń ludzie z kręgu utrzymujących się na górze bonzów.

Jeśli przeczytać krótkie noty biograficzne, przytłaczającej większości osób urzędowych działających w średnich ogniwach rządu Cartera, po tak podobnych do siebie biografiach, ich protektorów w gabinecie, to odnosi się wrażenie, że to wszystko już dawno było. Ludzie wywodzący się głównie z firm prawniczych, ze świata handlu i aparatu Kongresu, to ludzie którzy, podobnie jak i ich protektorzy, żyją w niedostępnych sferach z punktu widzenia dochodów i kontaktów społecznych. Dziesiątki nazwisk, tytułów i stanowisk — a wszystkie one, prawie bez wyjątku, są związane z kołami finansowymi lub kierowniczymi: ta lub inna firma, czy centrala, stanowisko wiceprezydenta w tej czy innej korporacji, przynależność do uprzywilejowanego środowiska absolwentów określonej uczelni. Posiadanie protektora jest najważniejsze dla takich kandydatów na członków klasy rządzącej.

Obecność stale tych samych ludzi na stanowiskach, od których zależy polityka, względnie ludzi tego samego pokroju, pomaga odpowiedzieć na pytanie, które amerykańskie społeczeństwo zadaje sobie regularnie co cztery lata, a mianowicie: dlaczego wybory w zasadniczy sposób nie zmieniają polityki rządu?".

Tłum. JERZY CZECH

ELEKTROWNIE NA ORBICIE

Stały wzrost zapotrzebowania ludzkości na energię i jednocześnie ograniczona ilość zapasów kopalin oraz zanieczyszczenie środowiska produktami jego spalania, zmuszają uczonych do poszukiwania nowych źródeł energetycznych. Jednym z nich, najbardziej obiecującym jest „czyste" i, praktyczne rzecz biorąc, niewyczerpane promieniowanie słoneczne. Burzliwy postęp techniki kosmicznej nadaje projektom wykorzystania promieniowania słonecznego realnych kształtów. Tworzenie orbitalnych kompleksów przez Związek Radziecki otworzyło drogę do budowy w Kosmosie dużych obiektów, a w ich liczbie i z pewnością satelitarnych elektrowni słonecznych.

Wielu specjalistów z dziedziny energetyki uważa iż stworzenie satelitarnych elektrowni słonecznych (SES) jest przedsięwzięciem bardzo kosztownym i nader ryzykownym. Twierdzą, iż SES nie będą mogły pracować efektywnie. Jednakże w warunkach laboratoryjnych już osiągnięto możliwość takiego przekazu energii elektrycznej.

Choć brak na razie praktycznych doświadczeń z realizacji prac budowlanych w Kosmosie, wiadomo już że jest on idealnym miejscem do tworzenia dużych obiektów. Niektórzy sceptycy próbują udowodnić, iż cena budowy słonecznych elektrowni na orbicie okaże się zbyt wysoka. Jednakże zgodnie z obliczeniami przeprowadzonymi w laboratoriach różnych krajów przypuszcza się, że korzystając nawet z już istniejącej technologii można wybudować środki transportu określające koszt dostarczenia jednego kilograma ładunku na orbitę geostacjonarną w granicach 65 dolarów.

Ogólny koszt satelitarnej elektrowni słonecznej będzie w przybliżeniu równy kosztowi energii elektrycznej eksploatowanej, np. w USA w przeciągu jednego roku. Wielu specjalistów twierdzi, iż SES będzie negatywnie oddziaływać na otaczające środowisko. Jednakże do przekazu energii na Ziemię użyje się najmniej niebezpiecznej formy mikrofalowego promieniowania, którego maksymalna intensywność jest znacznie niższa od niebezpiecznego poziomu. Zanieczyszczenie atmosfery przez silniki rakiet nośnych będzie 10 razy mniejsze, niż to, które powodują teraz odrzutowe samoloty amerykańskie. Powierzchnie potrzebne na Ziemi do przyjęcia energii z satelitów-elektrowni mogą być znacznie zmniejszone w drodze wprowadzenia szeregu różnych innowacji.

Jak uważają niektórzy specjaliści, SES będzie można uruchomić nie wcześniej niż w 2050 roku. Jednak do przemiany energii słonecznej na elektryczną na SES przewiduje się wykorzystanie już istniejącej technologii. SES na geostacjonarnej orbicie będzie w przeciągu 99 proc. czasu oświecona przez słońce, wypracowując praktycznie stałą moc w ciągu okrągłej dobry. Wiosną i jesienią będzie ona raz na dobę wchodzić w cień Ziemi maksimum na 1 godzinę i 15 minut. Na SES ze słonecznymi bateriami proponuje się wykorzystywać elementy krzemowe.

Znaczne rozmiary SES są tym uwarunkowane, iż średnica anteny przekazującej powinna mieć 1-1,5 km, a powierzchnia naziemnego urządzenia przyjmującego: 14 do 16 km kw. Taki system jest zdolny do przekazywania mocy 5.000-10.000 megawatów.

(C)

■ Trudne konklawe
■ Zapowiedź szczytu w Camp David
■ Rozpoczęcie rozmów w Hanoi

Śmierć papieża Pawła VI stała się jednym z czołowych tematów prasy światowej. Komentarze zawierają oceny działalności głowy Kościoła w czasie 15-letniego pontyfikatu oraz domniemania, kto będzie następcą. W pierwszym przypadku **podkreśla się przede wszystkim rolę, jaką spełnił Paweł VI w umacnianiu pokoju i otwarciu kontaktów ze Wschodem,** w drugim rozważa, czy obecnie jest możliwość, aby papieżem został nie Włoch, a na przykład kardynał południowoamerykański. Konklawe składa się bowiem ze 130 elektorów (z prawem głosu 115) i to w większości z kardynałów mianowanych przez zmarłego papieża w różnych rejonach kuli ziemskiej. W ten sposób liczba Włochów w składzie kolegium kardynalskiego zmalała i to właśnie może mieć następstwa w wyborze.

Może — to nie znaczy: musi. Komentatorzy zachodni piszą **o tradycjonalizmie stolicy apostolskiej i o względach praktycznych,** które mogą przeważyć i zdecydować o ponownym wyborze Włocha. Tak czy inaczej przypuszcza się, że tym razem konklawe będzie trudne i długie.

Depesze kondolencyjne z całego świata i udział w pogrzebie tak licznych delegacji wykazują, jak **ceniony jest wkład Pawła VI w budowanie pokoju na świecie.** Wyrażane jest też przekonanie, że jego następca podtrzyma w pełni linię Zmarłego. Do tematu z pewnością powrócimy.

* * *

Wielokrotnie pisaliśmy w „Odgłosach" **o zabiegach amerykańskiej dyplomacji, mających na celu ożywienie dialogu egipsko-izraelskiego.** Nawet trójstronne spotkanie na terenie W. Brytanii nie przyniosło rezultatu, ponieważ i Izrael i Egipt pozostały przy swych stanowiskach. Tym bardziej **zdziwiła zapowiedź szczytu egipsko-izraelsko-amerykańskiego,** co ma nastąpić 5 września w Camp David, w pobliżu Waszyngtonu.

O czym będą dyskutować Carter, Sadat i Begin?

O wyjściu z impasowej sytuacji. Aby nie wzbudzać nieuzasadnionego optymizmu — rzecznik Białego Domu podkreślił, iż USA nie łudzą się co do tego, że po szczycie przywrócony zostanie pokój na Bliskim Wschodzie. W Camp David szukać się będzie po prostu przyszłych pokojowych rozwiązań. Więcej pisze UPI, stwierdzając, że w **Waszyngtonie panuje ponura atmosfera i daleko posunięta ostrożność w ocenie perspektyw.** Ponoć USA nie mają żadnego własnego planu przełamania impasu.

O co więc chodzi? Czy o spektakularny aspekt spotkania?

Dwa miesiące dzielą tylko od wyborów do Kongresu. Popularność Cartera, aby przypomnieć jeden z poprzednich naszych komentarzy, wyraźnie spadła, w polityce wewnętrznej i zagranicznej administracji brak sukcesów. Carter — jak się wydaje — chce zatem udowodnić, że czyni wszystko, co możliwe, a niepowodzenia nie są przez niego zawinione. No cóż — trzeba raz jeszcze powiedzieć, że separatystyczne rokowania egipsko-izraelskie nie są żadnym wyjściem z sytuacji bliskowschodniej. Kto to rozumie — ten oceni właściwie inicjatywę Cartera.

* * *

Uważny Czytelnik prasy codziennej dostrzegł zapewne **informację o rozpoczęciu rozmów wietnamsko-chińskich w Hanoi.** Wie też, że fakt ten został poprzedzony dużym napięciem we wzajemnych stosunkach, spowodowanym przez Pekin.

Jakie są tego przyczyny?

Bezpośrednie wiążą się z ludnością chińską, zamieszkałą w Wietnamie, pośrednie wynikają z zaangażowania się Pekinu po stronie Kambodży w sporze z Wietnamem. Otóż od pewnego czasu władze chińskie w różny sposób zaczęły wpływać na masową emigrację ludności Hoa do Chin. Posługiwano się przy tym niewybrednymi argumentami w rodzaju: wkrótce może wyniknąć wielka wojna, wówczas ludność ta będzie traktowana jako wroga przez Wietnam i jako zdradziecka przez Chiny. Kto więc jest Chińczykiem z pochodzenia powinien powracać do kraju. Propaganda odniosła pewien skutek, ale wtedy Pekin zamknął granice. Trzy tysiące ludzi znalazło się na ziemi niczyjej.

Wietnam niejednokrotnie występował z inicjatywą dwustronnych rozmów, ale druga strona długo nie podejmowała propozycji. Wreszcie do rozpoczęcia rozmów doszło w minionym tygodniu. Trudno przewidywać, czy zakończą się one jakimikolwiek rezultatami. Podkreśla się natomiast, że ostatecznie **Pekin zdecydował się na rokowania z powodu niepokojów, jakie jego stanowisko wywołało w wielu krajach azjatyckich,** zamieszkałych także przez mniejszości chińskie.

* * *

Aktualia tygodnia zamyka próba rozwiązania kryzysu rządowego w Portugalii **przez desygnowanie na premiera Alfredo Nobre da Costa** — byłego ministra, człowieka niezwiązanego z żadną partią polityczną. Powszechnie uważa się, że jego gabinet będzie przejściowym.

Portugalska Partia Komunistyczna oświadczyła, że wybór, jakiego dokonał prez. Eanes, nie odpowiada kryterium, które ona uważa za właściwe dla zakończenia obecnego kryzysu politycznego. Da Costa, kiedy pełnił funkcję ministra przemysłu i technologii, krytykowany był przez PPK przede wszystkim za jego politykę wobec znacjonalizowanych przedsiębiorstw.

W. SŁAWSKI

MARIA KORNATOWSKA

MYŚLI NIEUCZESANE O SYTUACJI FILMU POLSKIEGO

W peryferyjnych kinach grają u nas uroczy „Nickelodeon" Petera Bogdanovicha – film o magii kina, sztuki tworzonej przez upór i szaleństwo maniaków, wiarę i naiwność dzieci, tudzież spryt i mądrość producentów; sztuki nowoczesnej, bo nierozdzielnej od techniki, ale jak wszystko w naszej epoce tandetnej, czerpiącej z kroniki gazetowej i tragedii Szekspira, karmiącej się najpowszechniejszymi emocjami, najprostszymi instynktami; starej jak świat i urzekająco młodej, należałoby powiedzieć – młodzieńczej.

Ale akcja „Nickelodeonu" kończy się w roku 1915, w chwili premiery wielkiego dzieła maga ekranu, Davida W. Griffitha – „Narodziny narodu". Od tego czasu minęło lat przeszło sześćdziesiąt. I oto jesteśmy świadkami, jak umiera powoli niegdysiejsza magia filmowej sztuki. Miejsce zagorzałych miłośników X Muzy, co to znali swych mistrzów twórczość na pamięć niczym strofy ulubionych poetów, i którym dzieckiem w kolebce śnił się „Obywatel Kane" – zajęli uczeni filmologowie, którym oglądanie filmów mogłoby jedynie popsuć doskonałość teoretycznych dywagacji.

Sale kinowe świecą pustkami, dyskusyjne kluby upadają, trudno bowiem o dyskusje, skoro brak zainteresowań i namiętności. Na festiwalach rozprawia się o modzie lub polityce, ale nie o filmach. Młode pokolenie, które stanowiło fundament kinowej publiczności, zna filmy głównie z telewizji. Przez tych sześćdziesiąt lat sztuka filmowa nabrała ogłady i szlifu, kultury i wręcz wyrafinowania. Wydała na świat kilku wielkich artystów i kilkadziesiąt dzieł godnych historii. Wtargnęła w wyższe rejony wtajemniczenia: rejony filozofii, psychologii, metafizyki. Osiągnęła — dotyczy to przynajmniej pewnej części jej ilościowego dorobku — dojrzałość, ale straciła swój naiwny, jarmarczny wdzięk i magiczną zdolność budzenia wzruszeń, porywania do łez i do śmiechu, magnetyzowania tłumów, „otwierania wanien z wyobraźnią" — jak mawiali surrealiści.

Wydarzenia filmowe — jakże ich niewiele. Sensacje sezonu: „Szczęki", „Gwiezdne wojny", „Bliskie spotkania trzeciego rodzaju". Popis techniki i rutyny. Ogromna reklama. Trzeba to zobaczyć. Tak, jak „Płonący wieżowiec", „Trzęsienie ziemi" lub „Bitwę o Midway". Przedmiotem zachwytu jest doskonałość aparatury, precyzja realizacji. Ale to już nie to. Nie tylko kino utraciło niewinność. Widzowie także.

Kino przestało już przyciągać wybitne indywidualności. Już nie garną się doń, jak kiedyś, malarze, poeci, prozaicy, pomyleńcy i opętani. Stało się zawodem. Jednym z wielu. Całkiem popłatnym. Przed mniej więcej 15 laty na Konfrontacjach w Warszawie pokazano po raz pierwszy „Osiem i pół" Felliniego. Studenci łódzkiej szkoły filmowej wrócili z projekcji z obłędem w oczach. Kilku bardziej ambitnych chciało nawet oddać indeksy i legitymacje. Wielkość fellinowskiego arcydzieła odebrała im wiarę w siebie i odwagę. Zdawało się, że nie można już w kinie powiedzieć nic więcej. Była w tej postawie pokora i podziw dla geniuszu i oczarowanie ową magią kina promieniującą z „Osiem i pół". Ostatnimi czasy wiele się zmieniło w tej materii. Ani kandydaci na studentów szkoły, ani jej słuchacze nie zdradzają tak nabożnego stosunku do swej profesji. Na egzaminach wstępnych okazuje się, że filmy znają głównie z telewizji, nie mają swych ulubionych mistrzów ani dzieł i X muzę traktują ze zdrowym sceptycyzmem. Nie lepiej wygląda sytuacja w trakcie samych studiów. Czy warto porywać się na jakieś tam „Osiem i pół", skoro serial telewizyjny znacznie lepiej się opłaci. I pieniądze lecą, i zaszczyty, i popularność w narodzie ogromna. Co znaczy Fellini w porównaniu choćby z takim Kurasiem. Tak więc i kandydatom na artystów nie dostaje pasji. Na słynnych kiedyś schodach szkoły na Targowej nie toczy się już zajadłych dyskusji, nie burzy zastanego świata, nie wymyśla nowej wizji kina.

Brak owego fermentu artystyczno-ideowego w szkole siłą rzeczy musi się odbić na stanie świadomości „dorosłej" kinematografii. Być może świadectwem słabości rangi i prestiżu kina jest fakt, że najwybitniejsi nasi mistrzowie kamery (vide Andrzej Wajda) szukają satysfakcji artystycznych w teatrze. Teatr staje się terenem eksperymentów formalnych, rozpala wyobraźnię reżyserów filmowych.

Najświeższe badania statystyczne dowodzą, że telewizja (w Polsce) pochłania gros czasu wolnego, kosztem czytania książek, chodzenia do kina itd. Hollywood nazywano ongiś fabryką snów. Kino daje ciało i krew marzeniom przeciętnego człowieka. Tworzy coś w rodzaju poezji powszedniości. Telewizja daje poczucie ważności dzięki złudzeniu uczestnictwa w ważnych sprawach tego świata. Może przeciętny człowiek dnia dzisiejszego, zagubiony w „samotnym tłumie", żywiej odczuwa potrzebę poczucia własnej ważności niż marzeń. Chcielibyśmy wiedzieć, że naprawdę coś znaczymy, że rozumiemy to, co się na tej planecie, zwanej Ziemią, dzieje, że nasz głos, nasza ocena ma jekieś znaczenie.

Telewizja pomnożyła rzesze kibiców sportowych. Mundial 78 wzbudził znacznie więcej zainteresowania, pasji, zaciekłych dysput, niż jakiekolwiek wydarzenie kulturalne minionych lat. Można nie wiedzieć, kim jest Penderecki lub Zanussi, Has lub Falk, ale ktoś kto miałby cywilną odwagę przyznać się, że nic mu nie mówią nazwiska Deyny, Lata, Bońka ściągnąłby na swą głowę powszechne potępienie. Niektórzy z moich znajomych, których stopa nigdy w życiu nie stanęła na żadnym stadionie, z uniesieniem opowiadali: „jakież to fascynujące widowisko — mecz piłkarski. Prawdziwie nowoczesny spektakl". Istotnie coś w tym musi być. 22 dżentelmenów kopie siebie nawzajem, tudzież jedną piłkę. Mechanizm gry, być może, siła, precyzja, emocje na poziomie fizjologii.

Narzekając, jak dobry zwyczaj każe, na rodzimą kinematografię, nie sposób nie brać pod uwagę całego kontekstu, w jakim ona powstaje i funkcjonuje. Kinematografie mają swoje mocno osadzone fundamenty (np. amerykańska), albo prosperują dzięki kilku niepospolitej miary talentom (np. włoska). Na geniuszy nie ma recepty. Spiritus flat, ubi vult. Nad fundamentami można się zastanowić. Takim fundamentem jest m.in. wysoki poziom średniej produkcji, tzw. filmy popularne, czyli inaczej B-pictures. To one stanowią owo podwójne zwierciadło, w którym przegląda się rzeczywitsość, i w którym ludzie odnajdują swoje twarze. To one w najsilniejszym stopniu — nawet jeśli nie w sposób bezpośredni — odzwierciedlają świadomość i podświadomość społeczną. Współtworzą mity, ale zarazem najwierniej rejestrują realia egzystencji. I one — jak dowodzą badania — wywierają największy wpływ na odbiorców. Ale do sprawy filmów popularnych powrócimy jeszcze, poświęcając im osobne rozważania.

Wspomniałam o kontekście, a zatem zacznijmy od sprawy najmniej miłej. Od publiczności. Krzewimy kulturę filmową od lat, z namaszczeniem, z wiarą i nadzieją. Organizujemy Akademie Filmowe, Wszechnice Filmowe, akcje „Z filmem na ty", „Lata filmowe" w co bardziej atrakcyjnych kurortach. Mamy rozbudowaną sieć kin studyjnych, które obecnie niewiele różnią się od kin normalnych, mają równie zły, nieciekawy i ubogi repertuar. Rezultaty wszystkich tych akcji są dość mizerne. Wyszkolono kilkudziesięciu działaczy, dając im wiedzę powierzchowną i niepełną. Po kraju, zwłaszcza na tzw. prowincji, krążą dziesiątki chałturszczyków — prelegentów, którzy za godziwą lub mniej godziwą opłatą streszczają filmy, okraszając owe streszczenia kilkoma źle sformułowanymi komunałami. W gorszych przypadkach opowiadają banialuki, siejąc dezinformację. Panuje przekonanie, że na filmie, podobnie jak i na medycynie — zna się każdy. Prowadzi to do katastrofalnych skutków, albowiem od ignorantów w dziedzinie medycyny chronią nas przynajmniej dyplomy lekarskie, ale kandydat na krzewiciela kultury filmowej najczęściej nie posiada żadnego dyplomu, lub w najlepszym razie świadectwo ukończenia paromiesięcznego kursu. Wydaje się na rozmaite akcje mnóstwo pieniędzy, brak jednak przemyślanej, sensownej polityki, szerzej zakreślonych horyzontów. Brak wreszcie ludzi z pewnym powołaniem, z autentyczną pasją. W dziedzinie kultury instytucjonalizacja działań i ludzi ma zazwyczaj negatywne skutki.

Z drugiej strony działalność krzewicieli nie ma, szczerze mówiąc, większego wpływu na poziom wiedzy publiczności. Wszelkie prelekcje traktuje się u nas wszakże jako zło konieczne. Prelegent odgada swoje, a publiczność przeważnie i tak nie słucha. Może to i lepiej czasami. Ale błędne koło trwa.

Upadek kin studyjnych przekreślił szansę filmów ambitnych, trudnych. Publiczność nasza zignorowała wiele dzieł pięknych i mądrych: „Początek" Panfiłowa, „Miłość" Makka, „Zofię" Czekały itd. Niektóre filmy w ogóle nie trafiają na ekrany, albo znikają po jednym dniu wyświetlania z powodu braku widzów. Zanika szlachetny snobizm filmowy, Konfrontacje stały się imprezą komercjalną, której uczestnicy masowo opuszczają salę podczas projekcji „Ludwiga" Viscontiego, natomiast skłonni są stać całą noc w kolejce, by zdobyć bilet na „Wielkie żarcie", lub „Dekamerona". Biada, jeśli, jak w przypadku „Casanovy" Felliniego, publiczność, wyostrzywszy sobie uprzednio apetyty, dozna zawodu. Nawet recenzenci nie wiedzieli, jak ugryźć ten trudny orzech, po którym tak wiele „mocnych wrażeń" się spodziewali. W ten sposób Konfrontacje tracą swój sens.

W niskim poziomie kultury i gustów publiczności mają swój owocny udział także krytycy i recenzenci, zwłaszcza pism codziennych, zdawkowo i bez przekonania „referujący" omówienia Filmowego Serwisu Prasowego. Dzienniki nie prowadzą żadnej „polityki kulturalnej", nawet na ograniczoną skalę. Nie próbują wyrobić sobie autorytetu wśród czytelników, zdobyć ich zaufania, stać się doradcą w dokonywaniu pewnych wyborów, nie próbują sugerować określonego sposobu rozumienia filmu. Niestety, recenzenci w przygniatającej części naszych gazet są ludźmi anonimowymi, nijakimi, bez własnych gustów, własnych poglądów. Działy filmowe roją się od rozmaitych „michałków", tłumaczonych wprawdzie ze słownikiem w ręku, ale bez zrozumienia i znajomości rzeczy, z zagranicznej prasy. Lepiej co nie zawsze znaczy dobrze, przedstawia się sytuacja w tzw. tygodnikach kulturalno-społecznych, ale takowe niekoniecznie trafiają do rąk masowego widza.

Zapewne, mocą przyzwyczajenia, zwykliśmy powtarzać, że mamy najlepszy na świecie repertuar filmowy. Może kiedyś było to zgodne z prawdą, ale nie dziś. Filmy docierają do nas ze znacznym opóźnieniem. Selekcja czyni wrażenie całkiem przypadkowej. Przeważają wyjątkowo kiepskiej jakości komedie francusko-włoskie, lub melodramy tejże produkcji. Zdaje się, że francuscy i włoscy dystrybutorzy przysyłają nam wszystkie swoje buble, których już nigdzie nie dało się upchnąć. Prawdopodobnie hurtem i z bonifikatą. Miast dzieł, o których się mówi i o których się pisze, oglądamy rzeczy czwartorzędne pod każdym względem. Repertuar jest jednostronny, nie uwzględnia wielu nowych zjawisk, nazwisk, kinematografii. Siłą rzeczy fałszuje i wypacza obraz współczesnego kina. Czy można zatem mieć pretensje do widzów kształtowanych i wychowywanych przez repertuar, którego perły i rodzynki stanowią osiągnięcia rodzimej kinematografii sprzed lat, lekko licząc, czterdziestu.

Historia kina dostarcza rozlicznych dowodów na poparcie tezy, że twórczość nie może rozwijać się w próżni. Poziom widza, jego zainteresowania, upodobania, poglądy i tęsknoty mają determinujący wpływ na jej charakter. Widz stawia wymagania, oczekuje, dostarcza impulsów. Oczywiście, gwoli pocieszenia dodajmy, że nasza publiczność nie jest taka zła. Bywają gorsze. Na przykład włoska. Ale też poziom produkcji włoskiej (poza nielicznymi przecież wyjątkami) stanowi smutne świadectwo oczekiwań i gustów widowni.

Narzekamy na stan naszej twórczości, wysuwamy szczytne żądania, rzucamy wzniosłe hasła. Ale czy wiemy, czy chcemy wiedzieć, co naprawdę lubi nasz „przeciętny widz", co chce znaleźć w kinie, a w polskim filmie w szczególności. Jakiej strawy pożąda i potrzebuje. I kim właściwie jest ten widz, w imieniu którego piszemy artykuły, przemawiamy i walczymy. Nastolatkiem, młodzieńcem, człowiekiem dojrzałym, z wykształceniem lub bez, z kulturą lub bez. Do jakiego widza należy adresować filmy: do wszystkich, to znaczy do nikogo, czy może do określonych warstw, środowisk, pokoleń? Wokół tych kwestii narosło mnóstwo nieporozumień i zakłamania. Lubimy przecież szermować frazesami w rodzaju „masowy widz", „szary widz", „masowa widownia", „szeroka publiczność", bo najłatwiej ukryć się za parawanem haseł i komunałów. Trudniej prowadzić badania,analizować, dociekać prawdy i wyciągać wnioski. A od tego należałoby zacząć.

„WESELE" RAZ JESZCZE!

„Nemo propheta in patria sua", zauważa nie bez słuszności Pismo Święte. Jeszcze trudniej być prorokiem we własnym mieście. Przekonał się o tym na własnej skórze reżyser Waldemar Podgórski stając się przedmiotem napaści prasowych, w których smutny rekord zaufania i ignorancji pobiły... „Odgłosy". Oto w numerze 27 z 2 lipca br. na kolumnie jakby na ironię nazwanej „Magazyn kulturalny" (podkreślenie moje — K.F.) dopuściły się wybryku, który każe zastanawiać się, gdzie są granice wolności prasy, a gdzie zwykłe chamstwo nie mające nic wspólnego ani z prawem do krytyki, ani z interesem publicznym, a więc uprawiane na prywatny rachunek.

Ale zacznijmy wszystko od początku.

Oto w numerze 25 „Odgłosów" z 18 czerwca br. w wywiadzie zatytułowanym „Być kimś?— Być sobą!" przeprowadzonym przeze mnie na krótko przed premierą filmu „Wesela nie będzie" reżyser Waldemar Podgórski powiedział m. in.:

„Pisarstwo Ryśka Binkowskiego spowodowało jakąś zmianę w tym co robiłem wcześniej i we mnie samym. Coś mi uświadomiło. „Pójdziesz ponad sadem" czytałem tak jakbym sam był autorem tej książki, tak była mi bliska. Czytałem to jak fragment własnej biografii i koniecznie zapragnąłem robić. „Wesele" niby jest też bliskie, myślę o losie bohatera, ale ta bliskość jest bardziej złożona. „Wesele" jest jakby powtórką z tematu. Bliskość z „Pójdziesz ponad sadem" sprawiła, że nie jestem z ostatniego filmu zadowolony. Mam takie uczucie, jakbym w „Weselu" poszedł na łatwiznę. W czasie realizacji tego filmu byłem obezwładniony jakimś uczuciem winy w stosunku do osób najbliższych. I to jest właściwie film nie o awansie, ale o skutkach tego awansu. Społecznych i osobistych. Bo cena jaka się płaci za awans, jest często zbyt wygórowana. Człowiek popełnia gdzieś błąd. I poprzez film „Wesela nie będzie" chciałem zrozumieć, jaki to błąd i kiedy nastąpił. Ja tylko sygnalizuję moje niepokoje, bo w czasie realizacji miałem uczucie, cudowne, a jednocześnie przerażające, że film jakby wymyka mi się z rąk. Za filmem kryje się przecież 10 mln zł — tyle kosztowała realizacja".

Przypominam tę szczerą i ogromnie uczciwą wypowiedź realizatora filmu, który dzieli się z czytelnikiem swymi rozterkami i niepokojami nie dla jakichś takich usprawiedliwień, ale dla uprzytomnienia jak trudnym jest proces dochodzenia do prawdy zwłaszcza wtedy, gdy twórca podejmuje temat współczesny. Nie jest bowiem przypadkiem, że wszystkie swoje sukcesy kasowe, a i większość artystycznych, nasze kino odnosi w obrazach kostiumowych i historycznych, kiedy zaś przychodzi powiedzieć coś o dniu dzisiejszym, to jego głosik jest nieco mimozowaty, słychać w nim zadyszkę albo chrypkę. I jest to tendencja na tyle ogólna (wyjątki są tak nieliczne, że w pełni potwierdzają regułę), że warto się zastanawiać, dlaczego tematyka współczesna tak opornie poddaje się sile kreacyjnej twórców, bo zajwisko jest przecież szersze ,dotyczy nie tylko filmu, ale także literatury, która także najczęściej operuje stereotypem socjologicznym zastępującym prawdę artystyczną.

Tego typu rozważań potrzeba nam bardzo, jeśli chcemy by sztuka towarzyszyła naszemu życiu i by przesycona była refleksją wykraczającą poza pojemność intelektualną felietonu czy artykułu publicystycznego.

Innego wszakże typu metodę wybrał autor felietonu(?) wygłupu(?) zatytułowanego „Zmartwychwstania nie będzie!" (Salonowiec na premierze filmu pt. „Wesela nie będzie" na motywach prozy Ryszarda Binkowskiego) i wydrukowanego w „Odgłosach" gdzie stwierdza się wprost: „Nie pierwszy to raz pada książka łupem i ofiarą ambicji reżysera-scenarzysty".

I tu chce się wykrzyknąć: zapewne! Tylko czy akurat w tym konkretnym przypadku. Gdyby Salonowiec znał choć jedną książkę Ryszarda Binkowskiego, a szczególnie tom opowiadań „Latoś wesel nie będzie" nie zabierałby chyba głosu tak kategorycznie.

Punktem wyjścia do scenariusza filmu „Wesela nie będzie" było niewątpliwie opowiadanie Binkowskiego „Lato czarne i złote". Liczy ono w książce 14 stron druku i jego walor polega na języku, bo jest właściwie afabularne: całą anegdotę można opowiedzieć w kilku zdaniach, które w zasadzie nie zubożą jej. Maturzysta Wojtek w tajemnicy przed rodzicami zdał egzamin wstępny do Akademii Medycznej i podczas żniw ujawnia to rodzicom, którzy obawiają się, że nie wróci już na wieś. Na zabawie zbliża się do dziewczyny imieniem Hanka, która mu się oddaje za obietnicę małżeństwa. Potem Wojtek opuszcza wieś pocałowawszy na pożegnanie ojca w rękę.

Z innego opowiadania pt. „Hanka" (w książce liczy 6 stron druku) możemy się dowiedzieć, że Hanka zaszła w ciążę i zmarła podczas abortu dokonanego przez wiejską znachorkę Wojtek zaś zostaje usunięty ze studiów za brak postępów w nauce i żeni się w mieście ze starszą od siebie kobietą.

Jeśli teraz porównamy fabułę obu tych opowiadań z fabułą filmu Podgórskiego to okaże się, że nazwisko Binkowskiego ukazało się na ekranie przez czystą kurtuazję i sympatię realizatora do pisarza, której zresztą reżyser dał nie jeden dowód. Wojtek z filmu to przecież lekarz, który nie ma nic wspólnego z bohaterem „Lata czarnego i złotego" poza zbieżnością imienia. Innych postaci nie doszukamy się w ogóle. Z. Binkowskiego jest natomiast klimat dialogów wówczas, gdy akcja filmu toczy się na wsi, bo jednak przede wszystkim bohater działa w dużym mieście, w którym bez kłopotu rozpoznajemy Łódź. I ten łódzki sztafaż, ukazanie kolorytu przemysłowego miasta przydaje filmowi Podgórskiego wielu walorów: nie jest to na pewno dzieło wybitne, ale uczciwe w intencjach i ogromnie sprawne w realizacji, operujące niebagatelnym warsztatem reżyserskim. A byłby ten obraz jeszcze ciekawszy, gdyby autor nie uległ Binkowskiemu z książki „Pójdziesz ponad sadem" zekranizowanej już wcześniej, operującej stereotypem socjologicznym awansu społecznego: człowieka ze wsi nobilitować może tylko miasto! Miasto, owszem dawało często ludziom ze wsi awans materialny (dziś i to się skończyło), ale pozbawiało ich jednocześnie tylu cech osobowości, że pod wieloma względami był to nie awans tylko regres.

Zwróciła na to uwagę krytyka. Oto Małgorzata Karbowiak w recenzji „Wesela nie będzie" („Głos Robotniczy" z 29. VI. br.) zauważa nie bez racji:

„To byłby bardzo ważny film, gdyby nie posłużono się także zbyt mocno jeszcze funkcjonującym w ludzkiej świadomości schematem przypominającym serial „Daleko od szosy". Tyle, że młody człowiek zdołał już osiągnąć dość wysoki status zawodowy i społeczny, a problem wyboru dziewczyny — „miejskiej" czy „wiejskiej", ma już dawno poza sobą. Szkoda, iż nie wyszło reżyserowi, że zbyt miałki zbyt stereotypowy okazał się materiał scenariusza że nieprzekonywająco, choć przecież nie wszystko jest w tym filmie złe, pokazany został dramat bohatera.

To byłby bardzo ważny film, gdyby twórcy nie wyizolowali Wojtka z realiów życia, gdyby samemu problemowi wyborów moralnych nadali większą siłę i nośność społeczną. Naprawdę — bardzo ważny".

Przyznaje to także Renata Grzelak („Dziennik Popularny" z 22 czerwca br.):

„...Sięgnięto po temat trudny, a zarazem wymagający wnikliwego, niebanalnego dowodu i przekonywających motywacji. Filmowy Wojtek należy do postaci, których trudno nie zaakceptować od chwili, gdy wiemy już że przeszedł niełatwą drogę by skończyć medycynę".

Przyznaje to zresztą po to, aby zaraz sobie zaprzeczyć i zakwestionować walory filmu niezbyt wybrednym kalamburem, ale jej głos, choć wielce krytyczny, jest właśnie krytyką i nie można mieć o to pretensji.

Salonowiec z „Odgłosów" poszedł dalej waląc prosto w oczy:

„W jednym twórcy dotrzymali słowa (i to jest sukces): wesela rzeczywiście nie było. Zamiast niego mieliśmy pogrzeb (kolejny w polskiej kinematografii)".

A więc i tu niewybredne kalambury. A potem cios w żołądek:

„Miejmy wszakże nadzieję, że kto powinien był, ten pogrzebał swe „talenty" wystarczająco dokładnie! Pytanie tylko, jak długo jeszcze te filmowe pogrzeby (za 10 mln i więcej) odbywać się będą na koszt społeczeństwa? I kto może sobie pozwolić na luksus ciągłych ekshumacji połączonych jednocześnie z wciąż nowym pogrzebem? Być może jednak tym razem zmartwychwstania nie będzie".

A mnie jest wstyd, że podobny typ argumentacji przeczytałem w tygodniku, który podpisuje także swoim nazwiskiem. Czasem wydaje mi się, że koszty społeczne nieodpowiedzialnego pisania są grubo wyższe niż 10 mln zł, na które powołuje się Salonowiec, a których Podgórski bynajmniej nie zmarnował. Są bowiem wartości, których nie można nabyć za największe nawet pieniądze. Pouczają o tym nawet westerny.

KONRAD FREJDLICH

WALENTIN KATAJEW

MÓJ DIAMENTOWY WIENIEC (2)

(FRAGMENTY)

Pierwszy spośród wszystkich pojechałem do Moskwy.

I oto stoję w ciasnym pokoju redakcji „Czerwone Nowiny" na uliczce Kriwokojennoj i patrzę na kłótnię królewicza i mulata. Królewicz pijany, mulat trzeźwy i wściekły. A syn hydraulika rozdziela ich i uspokaja: no co wy, towarzysze...

Wystraszona sekretarka, chroniąc i przyciskając do piersi swoje papiery, nie wiedziała, gdzie szukać ratunku: prosto na ulicy, czy ukryć się w maleńskiej komórce gabinetu redaktora Worońskiego, który, zgiąwszy się nad swoim szwedzkim biurkiem, siedział czarny, mały, z dużym nosem i w binoklach, podobny do wrony, i udawał, że nic nie widzi, chociaż „wyjaśniali swe pretensje" dwaj wybitni poeci kraju.

Królewicz całkiem po chamsku jedną ręką trzymał intelektualistę mulata za klapy, a drugą próbował dać mu w ucho, a mulat w tym czasie — według określenia tamtych lat, podobny równocześnie i do Araba i do jego konia, z pałającą twarzą, w rozwiewającej się marynarce z oderwanymi guzikami, z nieumiejętnością człowieka delikatnego, chciał zręcznie ugodzić królewicza pięścią w policzek, co mu się zupełnie nie udawało.

Cóż między nimi zaszło?

Do tej pory nie mam pojęcia. Mulat w swoich wspomnieniach napomyka o skrajności stosunków, jakie go łączyły z królewiczem: albo byli bliskimi przyjaciółmi, albo nienawidzili jeden drugiego, doprowadzając do awantur.

Jasne było, że trafiłem na wybuch ich wzajemnej nienawiści.

Nie wiem, jak mulat, ale królewicz nienawidził go i nigdy się z nim nie zaprzyjaźnił, szczególnie w mojej obecności. A ja przyjaźniłem się i z jednym i z drugim, chociaż z królewiczem spotykałem się o wiele częściej, prawie codziennie. Królewicz zawsze uśmiechał się z obrzydzeniem, gdy padało przy nim imię mulata, nie akceptował jego poezji i mówił do mnie:

— Pomyśl tylko, co z niego, do licha, za poeta? Nie rozumiem, co w nim widzisz.

Zbywałem to milczeniem dlatego, że byłem całkowicie we władzy poezji mulata, a wyjaśnić, na czym polega jej siła magiczna, nie umiałem, a nawet gdybym potrafił, to królewicz mimo wszystko by jej nie uznał: tak wielka różnica ich rozdzielała.

Pojedynek mulata z królewiczem zakończył się niczym; rozdzielono ich wspólnymi siłami, i, z szalikiem okręconym wokół szyi i naciągniętą cyklistówką, które na nim wyglądały jakoś po zagranicznemu, obrażony mulat opuścił redakcję, a królewicz, który jeszcze zupełnie nie wytrzeźwiał, zapędził mnie do kąta i zaczął niespodziewanie prosić, abym pogodził go z Komandorem.

— Słuchaj, przyjacielu — mówił błagalnym, delikatnym, nieomal dziecięcym głosem. — co ci stoi na przeszkodzie? Przecież jesteś jego dobrym znajomym. Drukuje cię w swoim „Liefie". Szubrawcy nas skłócili. A ja, klnę się na Boga, kocham go i uważam, że jest znakomitym poetą rosyjskim, i jeśli chcesz wiedzieć, on mnie też kocha, tylko się do tego nie przyznaje, tam, na Wodopianej ulicy, krępuje się swoich futurystów, liefów, czy jak im tam — komfutów, bodajby przepadli. Na krzyż święty! Zaprowadź mnie tylko na Wodopianą, a my już się dogadamy. To niemożliwe, żeby dwóch wspaniałych rosyjskich poetów nie dogadało się. Bądź przyjacielem.

Byłem zmieszany i zacząłem tłumaczyć, że nie jestem w aż tak bliskich stosunkach z Komandorem, żeby przyprowadzać na Wodopianą ulicę nieproszonych gości, że mnie samego tam nie darzą szczególną sympatią i jeszcze, na dobrą sprawę, dadzą po karku, a w ogóle to nie jestem przekonany, że Komandor kocha go tajemnie.

Ale królewicz nie ustępował.

— Zrozum, jakaż to będzie siła: ja i on! Całą rosyjską poezję będziemy mieć w kieszeni.

Odmówiłem kategorycznie dobrze wiedząc, czym to się wszystko może skończyć.

— Niech będzie — powiedział królewicz — nie chcesz mnie zaprowadzić do Komandora, to zaprowadź do współbojownika, a on mnie już na pewno z nim zaprzyjaźni. Współbojownik — to jego najlepszy przyjaciel. I ciebie lubi, wiem, że się z nim przyjaźnisz, on uważa cię za dobrego poetę.

Królewicz przypochlebnie, a równocześnie drwiąco zaglądał mi w twarz i pocałował w usta.

Ze współbojownikiem byliśmy rzeczywiście w przyjacielskich stosunkach i powiedziałem królewiczowi:

— No cóż, do współbojownika jakoś cię doprowadzę.

Ale należało znać charakter królewicza.

— Prowadź natychmiast. Wiem, że stąd to dwa kroki.

— Na dniach będzie zręczniej.

— Prowadź natychmiast, bo pokłócimy się na całe życie!

Zgodziłem się.

Królewicz, na ile to było możliwe, poprawił i doprowadził do ładu skręcony w powrósło paryski krawat, i my wspięliśmy się żelaznymi schodami wejścia dla służby na siódme piętro, gdzie mieszkał współbojownik. W drzwiach ukazała się białowłosa rosyjska piękność, trochę charkowskiej urody prawdziwa Łada, prawie bajkowe zjawisko ni to ze „Śnieżki", ni to z „Sadko".

Wystraszona, cofnęła się w pierwszym momencie, lecz później, przyjrzawszy się nam w mroku schodów, uprzejmie uśmiechnęła i wpuściła do pokoju.

Było to tymczasowe mieszkanie współbojownika, który niedawno wrócił do Moskwy z Dalekiego Wschodu. Pokój wychodził bezpośrednio na schody dla służby i drugiego wyjścia z niego nie było, i jak wchodzili tam gospodarze, nie wiadomo. Ale wszystko w tym jedynym przestronnym pokoju przyjemnie zdumiewało czystością i porządkiem. Wszędzie znać było kobiecą rękę.

— Jakież to losy! — wykrzyknęła pani domu i nazwała królewicza zdrobniałym imieniem. Nie bez galanterii ucałował on jej rączkę i powiedział na „ty".

Byłem niemile zaskoczony.

Okazało się, że z dawnien dawna byli znajomymi i należeli do przedrewolucyjnej elity, do klanu początkujących wówczas, ale już znanych poetów stolicy.

W takim wypadku i na cóż ja się tu zdałem, przyjezdny prowincjusz, po kiego diabła królewiczowi zachciało się, żebym wprowadził go do domu, do którego on sam mógł wejść, kiedy tylko zechciał?

Widocznie królewicz nie był pewien, czy go przyjmą. Z pewnością zdążył się już pokłócić i narobić skandalu współbojownikowi.

Nie należy zapominać, że współbojownik i mulat byli bliskimi przyjaciółmi i obaj zaczynali w „Centryfudze" S. Bobrowa.

A teraz okazało się, że wszystko poszło w zapomnienie i królewicza przyjęli z otwartymi ramionami, a ja pozostałem w cieniu, jak częsty gość, do którego przywykli.

— Gdzie jest Kola? — zapytał królewicz.

— Nie ma, ale niedługo powinien przyjść. Czekam na niego z herbatą.

Królewicz nachmurzył się: jemu współbojownik potrzebny był natychmiast!

Nawet spod ziemi!

Nie mógł ścierpieć oczekiwania, szczególnie wówczas, kiedy był z lekka pod gazem.

— Zastanawiające — powiedział królewicz — ciekawe, gdzie on się szwenda? Na twoim miejscu nie pozwalałbym mu się tak szwendać.

Łada zaśmiała się z przymusem, ukazując podkówki swych drobnych jak perełki zębków.

Zagrała na fortepianie kilka preludiów Rachmaninowa, których nie mogłem słuchać bez wzruszenia, ale na królewiczu Rachmaninow nie zrobił żadnego wrażenia — on chciał Kolę.

Łada zaproponowała nam herbatę.

— Dziękuję, Ładuszka, ale co mi po twojej herbacie. Ja chcę Kolę!

— Niedługo przyjdzie.

— Już to słyszeliśmy — ze źle ukrywaną irytacją powiedział królewicz.

On absolutnie nie znosił najmniejszych przeszkód w spełnieniu swych zachcianek. Chociaż starał się wdzięcznie uśmiechać, grając rolę układnego gościa, czułem, jak zaczyna wiercić się w nim zły duch skandalu.

— Dlaczego nie przychodzi? — zapytywał od czasu do czasu gryząc z obrzydzeniem jarzębinowe marmoladki.

Prawdopodobnie wyobraził sobie następujący obraz: przychodzi do współbojownika, współbojownik natychmiast prowadzi go do Komandora, Komandor deklaruje się w miłości do królewicza, królewicz ze swej strony wyznaje swą miłość do poezji Komandora i obaj zgodnie dzielą między sobą pierwszeństwo na rosyjskim Parnasie i wszystko kończy się apoteozą światowej sławy.

I oto taka głupia przeszkoda: gospodarza nie ma w domu i kiedy przyjdzie, nie wiadomo, i trzeba siedzieć w przyzwoitym, eleganckim gniazdku tych niepijących staroświeckich radzieckich mieszczuchów, gdzie oprócz Rachmaninowa i filiżanki herbaty z marmoladką za diabła nic nie podadzą.

A czas płynął.

Wyraz twarzy królewicza stawał się coraz bardziej tkliwy i tkliwy. Oczy zaczynały mu błyszczeć niebezpiecznym, bardzo jasnym błękitem. Na policzkach zakwitł dziewczęcy rumieniec.

Zęby zacisnęły się. Westchnął marzycielsko, i pociągnąwszy nosem, kapryśnie powiedział:

— Chciałoby się wytrzeć nos, ale zapomniałem wziąć z domu chusteczkę.

— Ależ proszę, mój drogi, weź moją.

Łada wzięła ze sterty wypranej bielizny i podała królewiczowi z czarownym uśmiechem powiewną, koronkową chusteczkę. Królewicz ostrożnie, niczym skarb największy, ujął delikatną chusteczkę dwoma palcami, obejrzał ze wszystkich stron i ostrożnie wsunął do zewnętrznej bocznej kieszonki swej paryskiej marynarki.

— O nie! — prawie zaśpiewał nienaturalnie zachwyconym głosem. — Taką chusteczką godne są wycierać noski tylko rusałki, a dla zwykłych śmiertelników ona się nie nadaje.

Błękitne jego oczy zatrzymały się na białośnieżnym obrusie, i zrozumiałem, że za chwilę stanie się coś nie do naprawienia. Na nieszczęście, stało się naprawdę.

Drgnąłem.

— Słuchaj — powiedziałem — przyprowadziłem cię do tego domu i odpowiadam za twoje świńskie zachowanie. W tej chwili przeproś panią — i wychodzimy.

— Ja? — wykrzyknął z niewypowiedzianą pogardą. — Ja mam przeprosić?

— W takim razie stłukę ci mordę — powiedziałem.

— Ty? Mnie? Stłuczesz? — z jeszcze większą pogardą już nie powiedział, a jakoś nikczemnie zaśpiewał, zawył z obcym akcentem królewicz.

Rzuciłem się na niego i rozrzucawszy wszystko wokół, zaczęliśmy bić się jak chłopcy. Stół, który nam się nawinął, zatrzeszczał i rozwalił się. Niczym armatni wystrzał huknęła zamykająca się pokrywa fortepianu. Na podłogę upadła waza z białymi i różowymi marmoladkami. We wszystkie strony poleciały podarte kartki z Rachmaninowem, wypełniwszy pokój jak gdyby bezładnym przelotem mew.

Łada z przerażenia rzuciła się do okna, rozwarła je na oścież w czarną otchłań nocy i zakrzyczała, wyciągając ręce:

— Ratunku! Pomocy! Milicja!

Ale kto mógł usłyszeć jej słabe krzyki płynące z podniebnej wysokości siódmego piętra?

My z królewiczem, wczepiwszy się jeden w drugiego, wylecieliśmy za drzwi i stoczyliśmy w dół po schodach.

Bardzo dziwne, że podczas upadku nie zabiliśmy się, a nawet nie połamaliśmy rąk i nóg. W dole rozczepiliśmy się, wytarliśmy juchę spod swych nosów i, obrzucając się przekleństwami, rozeszliśmy w różne strony, przy tym ja byłem przekonany, że koniec z naszą przyjaźnią i robiło mi się smutno. Rozumiałem także, że dom współbojownika zamknął się przede mną na zawsze.

Jednakże za dwa dni, rankiem, przyszedł do mego pokoju cichy, łagodny i trzeźwy królewicz. Objął mnie, pocałował i smutno rzekł:

— Mnie później jeszcze malarze pobili.

Oczywiście żadnych malarzy nie było. Wszystko wymyślił. Malarze — to jakby reminiscencja ze „Zbrodni i kary". Zabójstwo, krew, klatka schodowa, Raskolnikow...

Królewicz uwielbiał Dostojewskiego i często, zapoznając się z kimś i ściskając mu rękę, przedstawiał się:

— Swidrygajłow!

Oczy przy tym mrocznie mu ciemniały. Sądzę, że już wówczas geniusz samobójstwa powoli, lecz nieubłaganie brał w posiadanie jego chorą wyobraźnię.

Uśmiechając się tajemniczo powiedział szeptem, że czeka mnie niezwykła radość. Zapytałem, jaka. Odpowiedział jeszcze bardziej tajemniczo:

— Niedługo sam zobaczysz.

W sznurkowym koszyku, który trzymał w rękach, zobaczyłem butelkę wódki i dwie wędzone rybki, związane sznureczkiem za skrzela. Ryby miały złocisty połysk i rozniósł się od nich ostry aromat, wywołujący pragnienie, a czysty blask butelki z wódką pogłębiał to pragnienie. Ale królewicz, dostrzegłszy moje spojrzenie, pogroził palcem i, uśmiechając się chytrze, powiedział:

— Jeszcze nie teraz. Później, wytrzymaj.

Następnie, jako niezwykłe odkrycie, oznajmił mi, że przeczytał powtórnie „Martwe dusze" i zrozumiał, że Gogol jest genialny.

— Rozumiesz, co on tam napisał? Napisał, że w deszczowej ciemnocie drogi w Rosji rozpełzły się, jak raki. Rozumiesz, tak powiedzieć mógł tylko geniusz! Przed Gogolem należy klęczeć. Drogi rozpełzły się jak raki!

I królewicz ukląkł rzeczywiście, zwróciwszy się w tę stronę, gdzie, według niego, znajdował się pomnik Gogola na Placu Arbackim, przeżegnał się jak przed ikoną i uderzył głową o podłogę.

Nie chciałem mu dać prymatu w odkryciu, że Gogol jest genialny, i wspomniałem, że u Gogola „przyroda jakby śpi z otwartymi oczyma" i także „karafka, pokryta kurzem, niczym w fufajce" w komórce Pliuszkina, podobnego do baby.

— Rzeczywiście tak napisał? — prawie z zabobonnym przerażeniem wykrzyknął królewicz. — Nie kłamiesz? — dodał, patrząc na mnie podejrzliwie. — Może sam to wymyśliłeś, że karafka była w fufajce i kpisz ze mnie?

— Przeczytaj „Wija", przeczytaj scenę u Pliuszkina.

Zmieszany pokręcił głową.

— No tak! Ale mimo wszystko, moje raki są genialniejsze od twej przyrody, śpiącej z otwartymi oczyma. A w ogóle gdzie nam się równać z Gogolem! Szczególnie imażenistom! Też mi „myślenie obrazami".

Ogromna miłość do Gogola tak gdyby jeszcze silniej nas związała. I siedzieliśmy razem, milcząc, przygnieceni geniuszem Gogola, czując się równocześnie dziećmi rosyjskiej literatury jeszcze niezupełnie dorosłymi i dojrzałymi.

W tym momencie rozległ się dzwonek i w drzwiach ukazał się współbojownik. Była to wspaniała niespodzianka, którą obiecał mi królewicz. Okazuje się, królewicz zdążył spotkać się gdzieś tam ze współbojownikiem, przeprosić za skandal, który miał miejsce na siódmym piętrze i wyznaczył mu u mnie spotkanie, aby przeczytać niedawno zakończony i jeszcze nikomu nie czytany nowy poemat.

cdn.

Tłumaczyła:
EWA T. GADZINOWSKA

Foto: Archiwum

zdarzenia i zwierzenia

SZÓSTY TOM „PÓŁ WIEKU"

„Pół wieku" Jerzego Putramenta już od pierwszego tomu w roku 1961 wydało mi się zamierzeniem pisarskim na dużą skalę. Myślę, że dziś nie jesteśmy nawet w stanie docenić wartości tego literackiego dokumentu. Ale wyobraźmy sobie... Za lat ileś tam polonista (albo lepiej — historyk) z początków XXI wieku opracuje całość, zaopatrzy w niezbędne przypisy i wyjaśnienia. Jakiż to będzie wspaniały i okrutny dokument naszych czasów!

Nawet to znamienne pęknięcie cyklu między tomem **„Literaci"**, a tomem **„Rapanui"** też nabierze swoistej wymowy. Tak się bowiem stało, że Putrament o okolicach roku 1956 pisał w okolicach roku 1970. Tom **„Przełom"** przeto — drukowany w **„Miesięczniku Literackim"** — ukaże się dopiero na przełomie lat 1978—79 pod tytułem **„Poślizg"**.

W chronologicznym cyklu **„Pół wieku"** nastąpiło więc pęknięcie — z początków lat pięćdziesiątych przeskoczył Putrament od razu w lata sześćdziesiąte. I ten przeskok też był znamienny. Powstał bowiem tom podróżniczo-rybacki **„Rapanui"**, który po paru latach przeszedł metamorfozę i stał się tomem **„Natasza"**. Tak więc z jednej strony mamy w cyklu lukę, z drugiej zaś strony mamy aż dwa różne tomy o tym samym okresie. Putrament bowiem nie nabiera czytelnika, jak to nieraz czynią różni autorzy. **„Rapanui"** i **„Natasza"** to dwie zupełnie różne książki, zmiana tytułu jest uprawniona, w nowej wersji pozostało może dziesięć, a może piętnaście procent tekstu z **„Rapanui"**.

Pisze Putrament: **„Ponieważ 10 tysięcy pierwszej wersji „Rapanui" już wyszło i chyba się rozeszło, łatwo można sprawdzić, że nie chodzi mi ani o wylizanie z tekstu niezręczności politycznych, ani nie o dopasowanie narracji do bieżących normatywów, ani o nic z tych rzeczy".**

To prawda — tom **„Natasza"** nie jest suplementem do tomu **„Rapanui"** — to jest pamiętnikarski suplement do tamtych lat, bardzo wyrazisty, ostrą kreską rysowany, czasem zjadliwy, czasem liryczny, a czasem bardzo gorzki.

Napisałem, że **„Pół wieku"** będzie po latach nieocenionym dokumentem naszych czasów. To prawda, czy się to komu podoba czy nie. Nie będą takim dokumentem ani lukrowane opowiastki, ani mętna, wydumana poezja.

Ale przecież i dziś pokażcie mi współczesną prozę, która o latach tak bliskich teraźniejszości mówi bez osłonek, bez meandrów i przemilczeń.

Choćby taki fragment z lat sześćdziesiątych, gdzie ktoś tam **„krzyczy z powodu drobiazgów, w których ten czy ów mówca potknął się. Natomiast co do sedna sprawy nie ma ani argumentu, ani za co się uczepić, jeśli nawet chciałoby się mu pomóc. Wrażenie: lecimy gdzieś na łeb, na szyję i nie sposób się zatrzymać, ba, przyhamować. Coś się zatrzymało, coś się zacięło".**

Putrament notuje w swoich brulionach ż y c i e. Robi to nieprzerwanie — wczoraj i dziś. Po tomie szóstym ukaże się siódmy, potem ósmy... Będziemy je czytali nie tylko jako dokument, ale także jak współczesną opowieść o naszych czasach.

Tom **„Natasza"**, wydany w roku 1978, kończy się na jesieni 1964 roku. Za jakieś dziesięć lat otrzymamy kolejny tom o dniu dzisiejszym. I tak jak dziś egzemplarze znikać będą szybko z księgarni. Jaka siła tkwi w tych książkach?

Myślę, że ta sama, co w **„Bołdynie"**, nowelach z tomu **„Święta kulo"**, w wierszu **„Karabin"**.... Siła pasji i szlachetnej niezgody na ten niedoskonały świat, w jakim przyszło nam żyć.

WIDOK

BEKASY NA ZIMĘ

Sztuka ma to do siebie, że albo jest, albo jej nie ma. Jeśli jest zła, oznacza to, że nie istnieje wcale. Sztuka może być kontrowersyjna, hermetyczna, awangardowa, elitarna, narodowa, ludowa... ale nigdy żadna. Musi to być sztuka. Nie ma sztuki **prawdziwej i nieprawdziwej.** Jest, powtarzam, jedna: SZTUKA. Ludzie, którzy ją tworzą, tworzą ją bez przerwy, nawet wtedy, kiedy leżą do góry brzuchem. Jeżeli ktoś jest malarzem, to nie przestaje nim być ani na chwilę, także wtedy, kiedy kopie w ogródku grządki pod ogórki i kapustę. Pisarza nie włącza się tak, jak się włącza adapter. Raz uruchomiona maszyneria twórcza w umyśle i duszy człowieka działa na okrągło, ciągle, bez przerwy. Jeżeli przestaje działać to znaczy, że ktoś przestał być malarzem, a ktoś inny pisarzem. Inaczej jest ze sprzedawcą w sklepie warzywnym. Sprzedawca zamyka o 18-tej i może być zupełnie kimś innym, na przykład solistą w amatorskim zespole pieśni i tańca „Wiślanie". Poza tym dla sprzedawcy w sklepie warzywnym, jak są ogórki, to jest sezon ogórkowy. Albo pomidorowy, albo szparagowy. Dla człowieka sztuki nie ma sezonu ogórkowego, bo jak się zaczyna u niego sezon ogórkowy, to on sam staje się jak ogórek, i kończy się jako artysta, i powinien zacząć pracować jako sprzedawca pomidorów. Niewielu może to zrozumieć, ale za to doskonale rozumie to CZAS, skrupulatny kontroler, jakiego sobie wynajęła SZTUKA, aby obronić się przed sklepikarzami i innymi takimi handlarzami włoszczyzną.

* * *

Sezon ogórkowy! Dobre sobie, he, he! Wyjedzie na urlop kilku facetów i od razu — sezon ogórkowy! Artyści, którzy pozwolić sobie mogą na urlopy, sami są „sezonowi". Jeden, pięć, nawet dziesięć sezonów i już ich nie ma, chociaż im się wydaje, że jeszcze są. **Potworowski,** który uczył mnie w gdańskiej szkole malarstwa (inne wtedy były szkoły i inni profesorowie) powtarzał nam, studentom, często w pracowni: **„Pamiętajcie, malarzem nie przestaje się być nigdy; jeżeli pozwolicie sobie na urlop, to już nigdy z niego nie wrócicie".**

Niekoniecznie trzeba stać przed płótnem i machać jak kto głupi pędzlem, albo tłuc w klawisze maszyny do pisania. Można tej fizycznej pracy nie wykonywać przez całe miesiące, a nawet lata. Ale jeśli się jest twórcą, to trzeba kumulować w sobie doświadczenia, ładować się obrazami świata jak ładuje się akumulator. Trzeba myśleć i starać się to i owo zrozumieć (bo zrozumieć wszystkiego i tak nie sposób), trzeba nieustannie oddzielać plewy od ziarna. **Artysta jest śpichlerzem, w którym gromadzi się ziarno na zimę i na siew.**

* * *

Co zaś do samych ogórków, to w sezonie ogórkowym można je jeść w postaci mizerii, albo surowe z miodem (tak jadło się na Wołyniu, gdzie się urodziłem, w Poznańskiem na przykład tego nie jedzą). Można też ogórki zakisić. Na kiszone przepis jest taki:

Trzeba wybrać jędrne i świeże ogórki, umyć czysto i posolić na noc. Rano każdy osuszyć serwetą, owinąć w liść od winogron, lub też przesypać tylko liśćmi i obłożyć koprem, włożyć kilka ząbków czosnku, ułożyć w sądek, zalać zimną, osoloną, lecz nie przegotowaną wodą, przycisnąć denkiem, wynieść do zimnej spiżarni lub sklepu suchego. Chcąc mieć ogórki w 24 godziny, należy układać je w słój lub garnek, nalać letnią wodą, do której wlać 1/4 część białego, żytniego barszczu, kawałek razowego chleba, koper, liść chrzanu, postawić w ciepłym miejscu, a będą po 24 godzinach do użycia.

Gdyby ktoś natomiast nie chciał kisić ogórków, a chciałby zamarynować na zimę na przykład bekasy, to też podam przepis.

Odpiec tyle bekasów, ile ma być zamarynowanych, polewając na ruszcie masłem, złożyć je potem na blachę i wynieść do lodowni, aby dobrze wyziębły. Tymczasem zaklarować masła, zmieszać je ze skopowym łojem, maczać w tym bekasy i układać na blasze, aby wychłodły; wtedy złożyć je do glinianego polewanego słoja, przekładając bobkowym liściem. Zagotować octu z angielskim korzeniem i astragonem, wychłodzić, nalać, aby bekasy zalało, obwiązać pęcherzem i wstawić w lód do lodowni. W ten sposób można także zakonserwować na kilka miesięcy słonki i kwiczoły.

Jeśli idzie o dzieła sztuki, to je też trzeba konserwować, jeśli mają się ostać dłużej, bo bez bekasów na zimę można się jakoś obejść, ale bez sztuki — chyba nie.

ANDRZEJ GRUN

SAM NA SAM Z ARBUZOWEM

Zadanie telewizyjnego sprawozdawcy nie należy w miesiącach letnich do najwdzięczniejszych. Z „taśmy produkcyjnej" na ulicy Woronicza mało schodzi w tym okresie ciekawych propozycji. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby na przykład wielkie zakłady przemysłowe w kraju równie ulgowo zechciały potraktować latem swoje obowiązki...

A w telewizji albo pozycje powtórkowe, albo błahe, nie dające żadnej satysfakcji bardziej wybrednemu widzowi. A lato „latoś" kiepskie, w pogodę nie obrodziło, dużo wieczorów dżdżystych, które nie wiadomo czym wypełnić. Aż przykro patrzeć, jak w domu wczasowym publiczność przed telewizorem topnieje i nim program wieczorny dobiegnie półmetka, wasz sprawozdawca pozostaje na posterunku całkowicie osamotniony. Bronią się w sensie frekwencyjnym tylko seriale telewizyjne (zwłaszcza mdłosentymentalne, francuskie „Panie na Mogadorze"), westerny i kryminały.

Jak z tej próby wychodzi teatr telewizji? Właśnie. Ten gatunek programowy jest niezmiennie najbliższy mojemu sercu. Chciałoby się napisać dobrze, ale obietywizm zobowiązuje. Amicus Plato, sed magis amica veritas (nie zorientowanych odsyłam do słownika Kopalińskiego). Otóż teatr telewizji przestał należeć do pozycji najbardziej oglądanych. Od lat twórcy jego chlubili się posiadaniem największej widowni w kraju. Szacowano, że poniedziałkowy teatr ogląda około dwunastu milionów ludzi. Wieksi optymiści przebąkiwali o piętnastu milionach.

Obawiam się, że cichaczem, stopniowo, niepostrzeżenie teatr telewizyjny począł gubić swoją wierną widownię. Prawda, że trudno mu konkurować z filmem w precyzyjnym dopracowaniu obrazu, ale to powinno dopingować go do poszukiwań w zakresie jemu tylko właściwej formuły, w większym stopniu niż film stawiać na aktora i autora jako na równorzędnych reżyserowi partnerów i współtwórców spektaklu. Tymczasem z własnych autorów niemal całkiem zrezygnowano, repertuar układa się eklektycznie, bez troski o akcentowanie specyfiki teatralno-telewizyjnej. A aktorzy? Jak są eksponowani? O tym pomówimy poniżej.

W efekcie stwierdzamy odpływ publiczności od teatru telewizyjnego, cofnięcie mu niejako kredytu. Jak bowiem tłumaczyć, że w domu wczasowym będącym moją szczerbinką obserwacyjną po zapowiedzi „Antoniusza i Kleopatry" Szekspira w renomowanej obsadzie brytyjskich aktorów i reżyserii Jona Scoffielda salka klubowa natychmiast całkowicie opustoszała?

Można ubolewać nad brakiem zainteresowań wyższego rzędu u publiczności, ale nie zmieni to faktu, że masowa widownia telewizyjna nie przyjęła 31 lipca tej propozycji zagospodarowania letniego wieczoru. Jeżeli zresztą uznać wspomniany spektakl aktorów Royal Shakespeare Company za zbyt elitarny, to jak ocenić analogiczną sytuację w tydzień później podczas projekcji „Opowieści starego Arbatu" Aleksieja Arbuzowa? To nie był program elitarny, a jednak ledwie zabrzmiały smętne dźwięki ballady Okudżawy zapowiadające widowisko, a już wasz sprawozdawca pozostał sam na sam z Arbuzowem na resztę wieczoru.

Nie było to moje pierwsze sam na sam z Arbuzowem. W 1967 roku miałem okazję odbyć z nim dłuższą rozmowę podczas jego wizyty w Łodzi w związku z premierą „Nocy spowiedzi" w Teatrze Powszechnym. Ten osobisty kontakt pogłębił i utrwalił tkwiącą we mnie sympatię dla twórczości dramatycznej tego autora. Nie, nie znaczy to, bym ją aprobował en bloc, bezkrytycznie. Arbuzow portretując znakomicie charaktery ludzkie poprzez zrecznie zaaranżowane sytuacje, miewa ciągoty w kierunku werbalnego filozofowania zbliżonego miejscami niebezpiecznie do banału.

A przecież nie sposób odmówić sztukom tego autora życiowej prawdy i humanistycznego ciepła. Jest to literatura pisana niewątpliwie z myślą o człowieku i dla człowieka. Moi współpensjonariusze wczasowi, zniechęceni — jak domniemywam — do teatru telewizji generalnie, pozbawili się tym razem spektaklu, który prawdopodobnie przypadłby im do gustu.

A teraz o samym przedstawieniu. Nie było bez wad. Wprawdzie aktor eksponowany w nim był znakomicie: Czesław Wołłejko jako artysta — lalkarz Balasnikow miał okazję do odbycia aktorskiego benefisu i okazję tę w pełni wykorzystał. Reżyserowi widowiska, Józefowi Słotwińskiemu, nie udało się jednak dostroić gry innych wykonawców do tonacji narzuconej przez Wołłejkę. Każdy tu właściwie nastawiał się na własny „strój". W przypadku Janusza Kłosińskiego, Stanisławy Celińskiej i Aleksandra Sewruka (chyba rolą tą żegnaliśmy się ze zmarłym artystą) wypadło to w sposób niesharmonizowany z całością, ale interesujący aktorsko. Olgierd Łukaszewicz wykazał w roli Kuźmy całkowitą nieporadność, a reżyser niewiele mu dopomógł. Natomiast występ Witolda Dębickiego w roli Lowuszki był wręcz żałosny. Może częścią winy obciążyć tu należy Arbuzowa, któremu postać ta po prostu nie wyszła poza dwuwymiarowy schemat, ale aktor i reżyser zamiast słabość tekstu stuszować, jeszcze go spotęgowali.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
ZOFIA LORENTZ

Cichutka, dla dzieci pisze,
literatom nie wadzi,
A więc literaci i dzieci są ogromnie radzi.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

WŁADYSŁAW SIKORSKI

„Był Sikorski nieodrodnym dzieckiem swych czasów — niespokojnych, pełnych wstrząsów i napięć, czasów, które wymagały nader często gruntownych przewartościowań przyjętych i akceptowanych wizji i ocen. Był też równocześnie jednym z tych Polaków epoki porozbiorowej, którzy w powszechniejszej świadomości zapisali się właściwie jednym fragmentem swego bogatego życia. Jego nazwisko kojarzy się ze zmaganiami narodu polskiego w latach II wojny światowej, tak jak Tadeusza Kościuszki z insurekcją 1794 roku, a księcia Józefa Poniatowskiego z epoką Księstwa Warszawskiego" — tak rozpoczyna swoją książkę poświęconą generałowi Sikorskiemu Roman Wapiński.

Obszerna biografia Władysława Sikorskiego przedstawia całą jego drogę życiową. Najwięcej jednak uwagi poświęca Wapiński działalności politycznej generała. Był wszakże Sikorski nie tylko szefem rządu polskiego na Zachodzie, swoją działalność polityczną rozpoczął znacznie wcześniej. Był żołnierzem, dowódcą, ale zajmował się sprawami wojska nie tylko od strony praktyczno-organizacyjnej, podejmował również próby formułowania ogólnych zasad sztuki wojennej. Mamy więc do czynienia — jak pisze Roman Wapiński — z politykiem, dowódcą i w jakimś stopniu z teoretykiem sztuki wojennej.

Książka „Władysław Sikorski" ukazała się w Bibliotece Wiedzy Historycznej, której patronuje „Wiedza Powszechna". Można przypuszczać, że dziesięciotysięczny nakład nie wystarczy dla wszystkich, których żywo interesuje współczesna historia Polski, historia, w której kształtowaniu brało udział wielu Polaków, którzy pamiętają to jeszcze z własnych przeżyć.

Roman Wapiński „Władysław Sikorski", PW „Wiedza Powszechna", W-wa 1978, str. 349, cena zł 60. —

„QUETZALCOATL"

Książka pióra Josè Lopeza Portillo y Pacheco, obecnego prezydenta Meksyku, jest literacką wersją legendy o Quetzalcóatlu, bohatera jednego z najważniejszych i jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych mitów meksykańskich. Początkowo imieniem tym nazwano boga, który w teogonii Indian wyrażał dualizm i kierował nieustanną walką, dającą początek ogólnym przeobrażeniom świata. Później Quetzalcóatlem nazywano tajemniczą postać związaną z tragedią konkwisty Meksyku, w szczególny sposób oddziaływającą na psychikę Moctezumy, oczekującego powrotu Quetzalcóalta, aby, zgodnie z tradycją, przekazać mu władzę. Opisywano go jako człowieka przybyłego ze Wschodu, białego człowieka z czarną i zaokrągloną brodą, o dużych oczach, szerokim czole, wysokiego wzrostu.

Imię Quetzalcóatla nadawano również kapłanom, którzy przewodzili kultowi tego bóstwa. Kim była w rzeczywistości ta tajemnicza postać?

Nie wiadomo. Toteż, zdajmy się na piękną prozę, którą Josè López Portillo opowiada legendę o Quetzalcóatlu, wydobywając z tej mitycznej postaci przede wszystkim człowiecze cechy.

Żeby zachęcić czytelników do uważnej lektury książki o Quetzalcóatlu dodajmy jeszcze na koniec, że postacią tą interesował się sam Erich von Däniken. Może więc brodaty, biały człowiek był po prostu przybyszem z Kosmosu?

Josè López Portillo y Pacheco, „Quetzalcóatl", przełożyła D. Rycerz, Wyd. Literackie, Kraków 1978, str. 136, cena zł 40. —

WARTO PRZECZYTAĆ

M. WEŁNA — „Tryby", Wyd. Lubelskie, cena zł 40,—
J. MADEYSKI — „Danuta Leszczyńska-Kluza", WL, cena zł 50,—
Z. FLIS — „Chodzenie po linie", Wyd. Poznańskie, cena zł 16,—
F. FORNALCZYK — „Oswajanie z teraźniejszością", Wyd. Poznańskie, cena zł 15,—

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 1771. I-14.